Wywiady, wywiady, wywiady...!

inne Planety

nr 2 /kwartalnik/ polska fantastyka: literatura + muzyka + filozofia

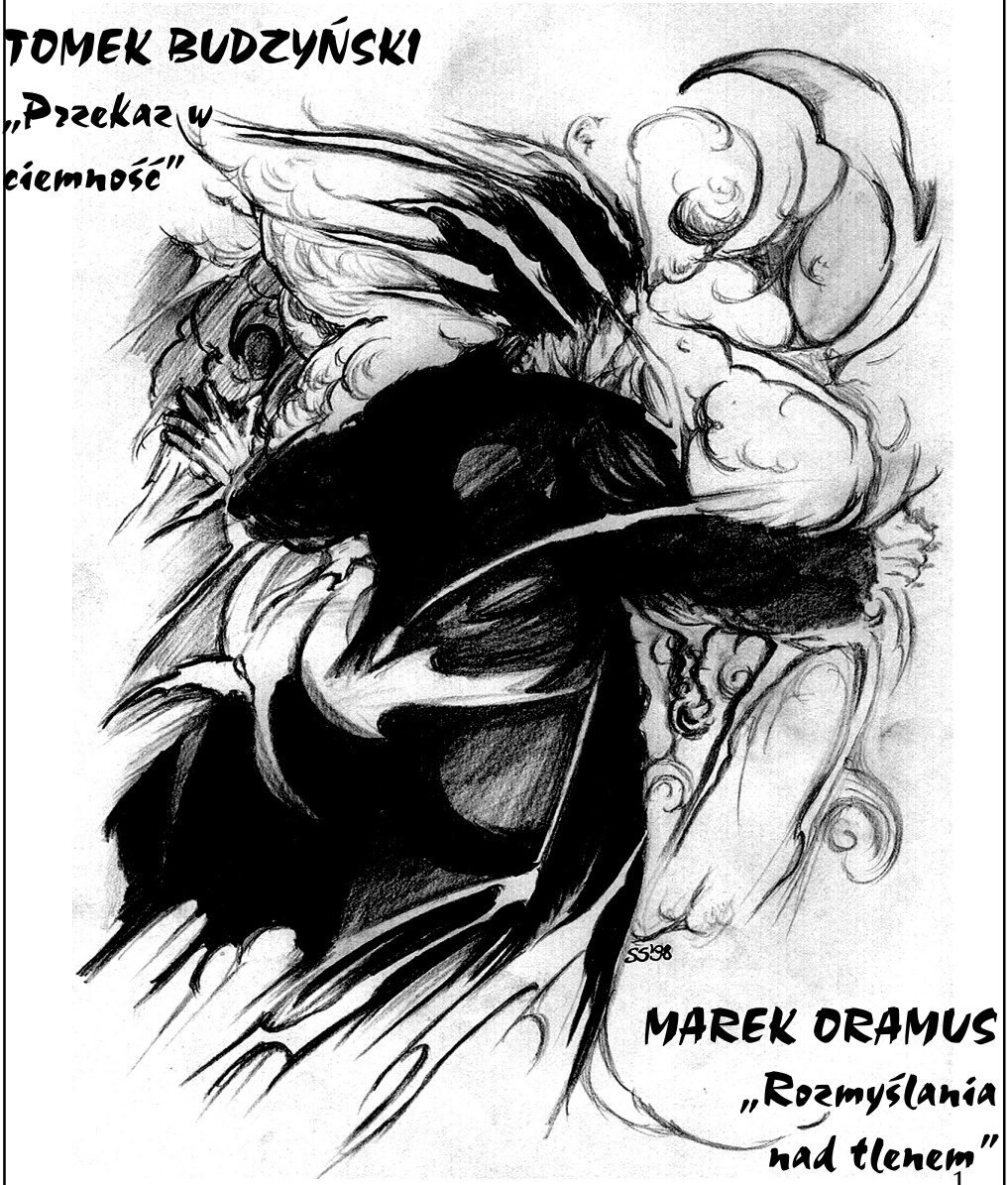

Witajcie!

Czy zbliża się koniec świata? Czy mamy podstawy do obaw? W „Apokalipsie" św. Jana są takie dwie wizje: latające skorpiony plujące ogniem i wieloramienna gwiazda oplatająca świat. Czy to aby nie samoloty i internet ? Albo ten cytat: *„A niewiasta była pijana krwią świętych i krwią świadków Chrystusa... I trzymała w ręku złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu*". Hm... W zeszłym roku pewna niemiecka TV transmitowała (przez kilka godzin!) tzw. marsz gejów i lesbijek. Przypominało to koszmarną parodię procesji. Czego tam nie było!... Dewianci w kostiumach do masochistycznego seksu i kardynalskich czapkach, wyuzdane dziwki w koszkulkach z ukrzyżowaną świnią, jakiś transwestyta przebrany za papieża, etc.

Spójrzmy na muzykę. Nie twierdzę, że Rolling Stonesi to czterej jeźdźcy Apokalipsy, a Marliyn Manson to Antychryst. Rock był zawsze demonizowany przez ludzi, którzy nie pogodzili się z muzyczną rewolucją lat 60. Natomiast Chińczycy wierzą, że epokom chaosu towarzyszy tzw. muzyka zagłady. Współczesny świat zatracił harmonię płynącą z zachowania umiaru. Ktoś może argumentować: *„przynajmniej jest ciekawie!*" Ciekawość kosztem równowagi? Dziękuję, postoję. Znane chińskie powiedzenie *„obyś żył w ciekawych czasach*" to złowróżbne przekleństwo. Być może więc koniec jest bliski. Tym, którzy kręcą głowami, zacytuję fragment „Wyludniacza" Armii: *„Na początku co jak koniec będzie nie do pomyślenia..."*

Pora na kontrargumenty. Po pierwsze: nie przesadzajmy. Każdy koniec wieku sprzyja nastrojom dekadenckim. Obecnie przeżywamy na dodatek koniec millenium! Magia okrągłych dat + dostrzegalny kryzys cywilizacji zachodniej = myślenie apokaliptyczne. Po drugie: Nihil novi sub sole... W Średniowieczu obchodzono w czasie karnawału tzw. Święto Błazna. Wyprawiało się wówczas rzeczy równie bulwersujące co dzisiejsze pedalskie ekscesy. Kościół przymykał na to oko, być może rozumiał, że ludzie muszą się wyszaleć. A co do muzyki – swego czasu francuską publiczność zbulwersowała „Carmen" Bizeta. *„Są małe szanse na koniec świata, bo koniec świata się nie opłaca. Nikomu."* (T. Love, „Zero")

Co będzie – pokaże przyszłość. Nie chcę nikogo straszyć, nie chcę też uspokajać. Po prostu numer wyszedł nam apokaliptyczny. Kto nie wierzy - niech przeczyta!

Wojciech Szyda

Spis treści

Krzysztof Głuch **Poczęty!...**.....3
M. Bronhard, K. Głuch, M. Protasiuk **Przekaz w ciemność - wywiad z Tomkiem Budzyńskim**.....6
Wojciech Szyda **Riff**.....11
Krzysztof Głuch **Kresy literatury**.....14
Wojciech Szyda **Prowokacje...**.....16
Piotr Prytulak **Przyjaciel**.....17
Planetarium.....18
Iwona Michałowska **Jolanta**.....20
Konrad T. Lewandowski **Średniowieczne krwi upuszczanie**.....23
Paweł Ostrowski **Rozmyślania nad tlenem - wywiad z Markiem Oramusem**.....26
Paweł Ostrowski **Zgroza!**.....30
Piotr W. Cholewa **Polemika**.....31
Wojtek Szyda **Palenie mostów - wywiad z Jackiem Sobotą**.....33

rys. na okładce Sebastian S. z Olsztyna

Krzysztof G³uch

Poczęty! Nie macie szans...
– scenariusz komiksu –

1. *Szpital katolicki w Stanach Zjednoczonych. Oddział położniczy. Sala z jedną kobietą. Kobieta młodziutka, ładna, blisko rozwiązania. Leży na łóżku. Obok niej siedzi jej mąż - policjant. Spokój i sielanka. Policjant - Valdemar. Dziewczyna - Sylvia.*

VALDEMAR: Nie bądź idiotką! Bibliotekarze też giną w czasie pracy.
SYLVIA: Boję się o ciebie.
VALDEMAR *(wstaje)* Jak zwykle niepotrzebnie.
SYLVIA: I o małego...
VALDEMAR *(całuje ją - duże zbliżenie)* Teraz ty jesteś najważniejsza. Pozdrów naszego dzidziusia, ja muszę już lecieć. Pewnie jakiś świrus rozwali mi łeb z okna przy 24-tej.
SYLVIA: Przestań!
VALDEMAR: Przecież żartuję.
SYLVIA: Wiem. Kocham cię.
VALDEMAR: Ja ciebie też.
SYLVIA *(twarz nabiera strasznego wyrazu)* No to baw się do...
VALDEMAR: Sylvia?
SYLVIA: ...BRZEEEE !!! *(gigantyczne litery, szał)*
VALDEMAR: Sylvia, co ci?!?
SYLVIA: Ono!!! *(oddycha prędko, poci się)*
VALDEMAR: Co ono???
SYLVIA: Chce wyjść!!! ? Wychodzi?!?!!
VALDEMAR: Jak to?
SYLVIA: WraacaaAAHH!
VALDEMAR: Siostro!!! *(chce odkryć kołdrę, ale odzywa się jakieś telefonidło, które ma przy pasie)*
VALDEMAR *(do słuchawki)* Słucham! *(Sylvia się szarpie, wpada pielęgniarka)*
SŁUCHAWKA: Jedź od razu na 24-tą! Jakiś psychol strzela do ludzi.
VALDEMAR: Kapitanie, moja żona...
SYLVIA *(chwyta go za rękę, zlana potem, ale spokojna)* Idź, już dobrze. *(Ujęcie na korytarzu, Valdemar wychodzi, mijają go dwaj mnisi buddyjscy, z otwartych drzwi dobiega głos Sylvii)* Sama nie wiem, co to było...

2. *Gabinet lekarski. Osoby: lekarz, dwaj mnisi buddyjscy, ksiądz katolicki - ordynator i kapelan kliniki, jakiś satanista. Lekarz czyta list.*

KSIĄDZ: Rozumiem, co doktor myśli, ale uprzedzałem: to sprawa wielkiej wagi. Liczę na całkowite posłuszeństwo i dyskrecję.
LEKARZ: Mam pewne wątpliwości co do zabiegu...
KSIĄDZ: *(dobrze widoczna koloratka)* Nie interesują mnie pańskie moralne rozterki.

LEKARZ: To katolicki szpital!
KSIĄDZ: Tym bardziej powinien być pan posłuszny papieżowi. To sprawa wielkiej wagi. Czytał pan, co Ojciec Święty pisze o trzeciej tajemnicy fatimskiej i narodzinach Antychrysta. Wielebni lamowie z Chin... *(gest na lamów)*
MNICH: Z Tybetu!
KSIĄDZ: Przepraszam, wielebni lamowie z Tybetu uparcie tropili poczęcie Demona i oto dziś przychodzą do mnie z prośbą o jego ekumeniczne zgładzenie. A co najważniejsze: ich słowa pokrywają się z poleceniem papieża!
LEKARZ: To rzeczywiście zbieg okoliczności...
KSIĄDZ: Zbieg okoliczności?! Panie, nam grozi zagłada. Jesteśmy zobligowani wykonać rozkaz papieża!
SATANISTA: Pseudopapieża...
KSIĄDZ: Bezczelny!... A oto pan Alberto Bretonneaux. Przybywa z posłaniem od pana La Vey'a, przywódcy satanistów. Oni też wpadli na trop.
SATANISTA: Jego ekscelencja La Vey oświadcza, że fałszywego Antychrysta trzeba jak najszybciej unicestwić. Ostrzega, że w razie próby ocalenia dziecka użyje siły.
LEKARZ: Co, wymorduje wszystkich chłopców do dwóch lat? Księże, ksiądz mi tu nakazuje zabieg aborcji. W tej klinica nikt nie ma o tym pojęcia. Mam użyć łyżeczki do herbaty czy odkurzacza? Do porodu zostało kilka tygodni. Może mam poharatać tę kobietę skalpelem?
SATANISTA: Chętnie służę pomocą.

3. *Sylvia wędruje szpitalnym korytarzem na „torpedzie", czyli mobilnym łóżku. Wokół niej „ostry dyżur", czyli pielęgniarki, kroplówki, ekspertyzy i zamieszanie. Poza tym lamowie i uzbrojeni komandosi.*

SYLVIA: Wciąż nie rozumiem.
LEKARZ: Mówiłem już. Musimy odebrać przedwczesny poród. USG wykazało drastyczne pogorszenie się stanu dziecka. Musimy ratować je cesarskim cięciem.
SYLVIA: To już słyszałam. Ale co mu jest?
LEKARZ: Spadek ciśnienia, migotanie przedsionków, *dementia praecox*...
SYLVIA: *Dementia praecox*? Przecież to dopiero płód...
LEKARZ: Droga pani, rozumiem, że jako matka nie godzi się pani z faktami, ale proszę nie wypominać mi nieuctwa. Przez dwa lata, zamiast studiować, walczyłem w Wietnamie, żebyś ty kotku mogła bezpiecznie urodzić to dziecko.
SYLVIA: Sorry. *(Korytarzem przechodzi ordynator)*
LEKARZ: Księże ordynatorze! *(na ucho do księdza)* Skąd tu tyle wojska?
KSIĄDZ: To nie wojsko. To alumni. Ojciec Święty podesłał nam specjalny oddział z seminarium w Palermo. Przecież tym satanistom nie można ufać.
LEKARZ: Palermo? To na Sycylii?

4. *Ujęcie drzwi do sali porodowej. Obok stoi na warcie żołnierz-alumn. Zbliżenie na twarz Sylvii leżącej pod narkozą. Sala porodowa, ostatnia faza cięcia, satanista i doktor ubrani po chirurgicznemu; dwie pielęgniarki.*

SATANISTA: Jak tam?
LEKARZ: Jeszcze jedno cięcie. Zaraz skończę z gnojkiem.

5. *Akcja policyjna. Valdemar z drugim gliniarzem, przyczajeni za maską samochodu. Wpatrzeni w cel. Rykoszety, sieczka.*

VALDEMAR: Daj mi spluwę! Zaraz skończę z gnojkiem
DRUGI *(nie widzi Valdemara, który jest poza kadrem*) Przecież masz swoją.
VALDEMAR: Daj mi... Aaa!
DRUGI (odwraca się zdziwiony) Valdy?... Oh, fuck!

6. *Lekarz z czerwoną dziurką między oczami (zbliżenie twarzy). Za drzwiami sali porodowej:*

KSIĄDZ: Hostia puta! Strzela! Wiedziałem, że ten pieprzony satan coś knuje. Wykończcie go!!!
Żołnierz-alumn wpada kopem do sali. Kadr jak z Dooma, przerażony satanista, za stołem porodowym dwie pielęgniarki. Seria w satanistę.
KSIĄDZ: Wykończyć wszystkich!!!
Seria w siostrę. Seria w drugą siostrę. Ciągle kadr jak w Doomie, ale „zmiana kamery". Teraz widać w drzwiach alumna i księdza oraz wycelowany w nich pistolet (kto go trzyma?). Strzał w alumna. Ksiądz stoi osłupiały w drzwiach, wpatrując się w podłogę. Za jego plecami, po drugiej stronie korytarza, drzwi z napisem: „Sala noworodków". Sylvia odzyskuje przytomność (zbliżenie). Reszta alumnów, przyczajona na korytarzu, patrzy na padającego księdza.
ALUMN: Co tam się dzieje?
SYLVIA *(uśmiechnięta)* Chłopczyk?
Przez drzwi od sali wytacza się granat.
ALUMN: Bracia, spieprzamy!
Pędzą w róg korytarza, padają. Jeden z nich, skulony, liczy:
ALUMN: Dwanaście... trzynaście...
INNY: Zrobił nas. Nie wyciągnął zawleczki.
Wracają pod salę porodową, perfekcyjna akcja, wpadają do środka i robią „ser sycylijski" (więcej dziurek niż szwajcarski). Cisza, trupy satanisty, księdza oraz pielęgniarek. Na stole martwa, pokancerowana Sylwia.
ALUMN: Bracia, spójrzcie! *(wskazuje pod nogi)*
Mokry, krwisty ślad prowadzi na korytarz. Podążają za nim. Ślad ginie za drzwiami sali noworodków. Alumni wchodzą powoli, lufy wycelowane... Spostrzegają pistolet na podłodze.
ALUMN: Uwaga!!!
Strzelają jak opętani, puściły im nerwy.
Cisza. Poszatkowany noworodek w kałuży krwi. Obok pistolet.
ALUMN: Boże, co tu się działo?
INNY: Nie wiem. Coś trzeba z tym zrobić.
Zbliżenie na rząd łóżeczek. Totalne zbliżenie na noworodka leżącego w łóżeczku na pierwszym planie. Zwykły, brzydki noworodek.

Morał nr 1:Niektórzy ludzie są względem innych całkowicie bezbronni.
Morał nr 2 (norwidowski):. . . . . .
. . . . . .

Przekaz w ciemność

wywiad z T. Budzyńskim, liderem zespołu Armia

Nie grasz metalu...

Nooo... Armia nie jest zespołem metalowym. Natomiast można mówić o nim w ten sposób, jeżeli chodzi o brzmienie. Płyta „Duch", na której gra Popcorn brzmi mocno metalowo. Natomiast my nie mamy takiego nastawienia. Nie mówimy o sobie jako o zespole metalowym.

A jakie metalowcy mają nastawienie?

Wiesz... pewien image, pewien rodzaj zachowania. My takiego nie mamy. Zastanawiam się, czy można mówić o specjalnym przesłaniu w muzyce metalowej. Jeśli już takie jest, to satanizm. Niemniej jednak gramy w końcu jakąś muzykę... nie wiem jaką. Zawsze udzielałem wymijających odpowiedzi. Niektórzy mówią, że jesteśmy zespołem hard-core'owym czy punkowym, ja mówiłem zawsze, że jesteśmy zespołem bajkowym albo zespołem poezji śpiewanej. Bardzo nie lubię, jak ktoś o nas mówi „metal, śmetal", ...no ale gitara Popcorna brzmi bardzo ciężko. On gra na takim zestawie jak w Acid Drinkers. Wzmacniacz Messa Boogie, gitara Gibson..., ale my w ogóle nie chcemy grać metalu.

Armia gra muzykę...

...bajkową, he, he.

...w sferze tekstowej jest to chrześcijaństwo.

Przekaz tak.

Ale czy uważasz, że to pociągnie jakąś lawinę, czy będzie tego więcej, czy też 2Tm 2,3 pozostanie odosobnionym zjawiskiem?

Na Zachodzie są zespoły metalowe z przekazem chrześcijańskim, słyszałem kilka. Wiesz, one nie są lansowane. W Polsce przemysł lansuje raczej przekaz satanistyczny. Ale na przykład w Stanach istnieje przecież cały rynek, który jest większy od całego polskiego rynku muzyki. Wiesz, w pismach typu „Tylko Rock" czy „Brum" jest bariera informacyjna. Oni piszą tylko o tym, o czym chcą, a nie o tym, co jest naprawdę; manipulują rzeczywistością.

Chcecie dotrzeć ze swoim przesłaniem do ludzi słuchających metalu. Z drugiej strony wychodzicie z ostrą muzyką do ludzi, którzy szukają chrześcijańskiego przesłania.

Akurat tak się składa, że granie takiej muzyki najbardziej nam wychodzi, robimy to od lat. Człowiek ma wolną wolę i nikogo nie zmuszam, żeby kupował płytę i słuchał zespołu 2Tm2,3. Wręcz przeciwnie, mówię, że to jest muzyka w służbie ewangelizacji. Rozumiesz, ten przekaz powinien iść w ciemność, a nie do ludzi którzy siedzą np. w oazach. Raczej nie. Wręcz można powiedzieć, że my nie gramy wystarczająco ostro , że w 2Tm2,3 jest za dużo balladek i tak dalej. Ale to też wypływa z nas, że chcielibyśmy to urozmaicić. Niemniej jednak uważam, że powinniśmy jeszcze mocniej przyładować. Nie wiem, czy nas stać w ogóle na coś takiego, nie mamy po osiemnaście lat i darcie ryja dla samego darcia już nas nie bawi. Tak jak to było kiedyś, he,he...

Czyli zgodzisz się z określeniem: „grupa 2Tm2,3 walczy na terenie wroga"?

„Walczy".... Jeżeli już walczymy, to z duchami zła, rozumiesz. Za św. Pawłem: „nie walczymy przeciwko istotom z krwi i ciała", nie z ludźmi. My to robimy dla uratowania ludzi. Wrogiem nie jest człowiek, lecz diabeł.

Ale zgodzisz się, że „na terenie wroga”?

Z tą muzyką związany jest satanistyczny przekaz. Dlatego można by tak powiedzieć. Wrogiem dla nas nie jest człowiek, lecz sam demon, który powoduje, że grają takie zespoły jak Marilyn Manson. To jest dzieło demona. Wrogiem jest demon a nie ten biedny człowiek, który jest tylko ofiarą. Aż przykro na niego patrzeć.

Jeśli chodzi o Marilyn Manson, to muzyka ci się podoba?

Nie, nie słucham tego, ale czasem niestety włączę telewizor i leci. To jest bardzo złe, bo to jest ewidentnie przekaz satanistyczny i tak jak kiedyś był to margines, tak teraz wydaje to bodajże firma Sony.

Niektórzy twierdzą, że to jedna z lepszych kapel, która ratuje „ciężkie granie”.

Co?! Przecież tutaj jest tylko i wyłącznie image, oparty na skandalu i prowokacji, jaka muzyka?

Czy to jest możliwe, że muzyka się komuś podoba i nie wsłuchuje się on w treść.

To jest bardzo możliwe, szczególnie w Polsce, gdzie bardzo wiele osób nie zna angielskiego.

Teraz już nie.

Za moich czasów mniej się znało i ja na przykład słuchałem mnóstwo świetnych kapel, których przekaz był, powiedzmy, kiepski. Ale to było dawniej i pewne rzeczy puszczałem płazem. Bo jeżeli chodzi o samą muzykę, to na przykład twórczość zespołu Black Sabbath jest genialna. Jest to bezwzględnie najlepszy zespół w historii metalu. Te Pantery, czy Sepultury to nawet do kolan mu nie doskoczą. Genialne riffy. Ale przekaz jest nieciekawy. I wtedy nie przeszkadzało mi to. Ale teraz choćby nawet nie wiem jak świetna byłaby muzyka, nie kupuję tego. Pamiętam, podobał mi się taki zespół Danzig. Kapitalna muzyka. Natomiast przekaz, rozumiesz,

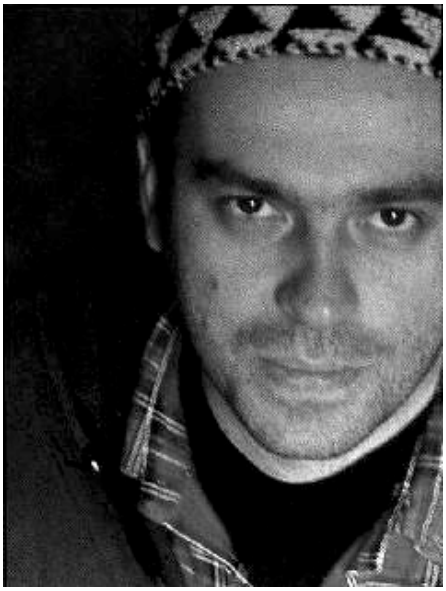

nie chcę mieć w domu czegoś, co śmierdzi z daleka i zatruwa powietrze dookoła.

Litza powiedział, że się gotuje powietrze.

Dokładnie. To jest dobre w sensie muzyki, ale przekaz ewidentnie nie do przyjęcia dla mnie, to leży u kogoś na półce i smród z tego się wydobywa, rozumiesz. Mówisz o Marilyn Manson, co to jest, jaka to muzyka? Taki... zwykły rock.

Czyli uważasz na to, czego słuchasz.

Ja po prostu takich rzeczy nie trzymam. Kiedyś miałem całą bibliotekę okultystyczną. W pewnym momencie wszystko to jakieś przedmioty, płyty. Wszystko wyrzuciłem na śmietnik. No cóż, wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z mojej ślepoty duchowej. Ja ci powiem, człowiek ma oczy, patrzy i nie widzi. Mnóstwo osób słucha muzyki w ten sposób, że nie zważa na przekaz. Ale to jest przekaz demoniczny w pewnych wypadkach. To jest „piękno”, które może cię zabić.

Pięknoręki.

Tak. Jak to dobrze wyrazić? Można wyrządzić szkodę czymś, co ma pozór

piękna. Ja kiedyś przez przypadek słyszałem w jakimś sklepie, taki zespół, Samael czy coś. To jakieś uwertury były, takie symfoniczne, piękna muzyka, rozumiesz... ale widzisz, to jest jak trucizna podana w pięknym kielichu.

Widzisz, piękno jest samo w sobie dobre, bo pochodzi od Boga. A tu ono ma pozór dobra. Jest to fałszywe wszystko. Niektórzy ludzie wsłuchują się w to, a tam jakieś zaklęcia magiczne. A jeżeli w tym wszystkim jest jakiś przekaz podprogowy, bo mi się wydaje, że ci ludzie, którzy tym sterują, robią to bezwzględnie, no to wdziera się w ciebie, nie wiesz nawet kiedy, trucizna. W muzyce chrześcijańskiej tego nie ma, w demonicznej jest. A najgorsze jest to, że ludzie, którzy widzą zło, dalej tego słuchają. Wtedy siedzisz na gałęzi i tak sobie ją podrzynasz (*pokazuje jak*). „Jeszcze wytrzyma, czy już nie"? Ale jak się złamie, leci się i nie wiem, kto cię złapie.

Człowiek igra z demonem. A niestety demon jest silniejszy, rozumiesz. Bez pomocy Pana Boga człowiek sobie w żaden sposób nie da rady. To nie jest zabawa. Bo widzisz, dla mnie słuchanie płyty Marylin Manson to tak, jakby jeść rzygi (*demonstruje*). Ktoś może sobie wmawiać, że to dobra muzyka, itp. Ale to są rzygi. Mogą zatruć organizm.

Black Sabbath też?

Słuchaj, Black Sabbath przy tym to mały pikuś. Muzyka i przekaz z lat 70. nie były takie jak teraz. Tam były jakieś okultystyczne zagrywki, ale nie tak wprost.

Ale ten pikuś to, jak każde zło, najpierw malutkie, potem cię pożera.

Zgadza się, ale tutaj to jest kawa na ławę. Proszę, masz, jedz te rzygi i udawaj, że dobre. To kłamstwo.

A to nie jest dobrze, że to właśnie kawa na ławę? Niezakamuflowane.

Tak, tylko zapominasz o tym, że ludzie są głupi. Szczególnie nastolatki są głupie. To jest wiek, w którym człowiek jest z gruntu głupi, wręcz bezbronny. Buntuje się, że „nikt mi tu nie będzie mówił, co mam robić". Ale młodość nie ma doświadczenia i jest bezbronna. Sam wiem, bo młodość miałem burzliwą. I to nie jest zabawa, bo demon chce cię zabić, zrozum - zabić. Ale za moich czasów zespół, który niósł najgorsze przesłanie to był Iron Maiden, to sobie porównaj, he he (*recytuje*) „666 the number of the beast", dzisiaj to jest śmiech politowania. Albo Black Sabbath, o którego tekstach można czasem powiedzieć, że bardziej opisują zło, niż do niego nakłaniają.

Ale czy skutki były mniejsze?

Nie, dlatego, że ten zespół był tak dobry, że znalazł tysiące naśladowców. I taki Ozzy Osborne w końcu stał się taką kukłą, która odgryza gołębiom głowy i takie tam. Ale to w zasadzie dopiero później mu odbiła palma, tego się już nie da obronić. Natomiast część twórczości, tej wczesnej, Black Sabbath da się obronić. Tylko to było również igranie. Dzisiaj to już jest opętanie. Ci ludzie nie są wolni. Taki Slayer na przykład. Kolega był na koncercie Slayera w Stanach, gdzie nawoływano: „chodźcie pod scenę, zostaniecie teraz ar-

mią diabła", oni podchodzą, a ci zaczynają ich kopać po twarzach. Potem ci ludzie wychodzą z koncertu, idzie dziewczyna, gwałcą tę dziewczynę. A później w pieprzonym piśmie „Tylko Rock" jest wywiad z Kerry Kingiem: „wasi fani zgwałcili dziewczynę, co wy na to?", a w słowach tego faceta nie ma ani cienia skruchy jakiejś. „Tylko Rock" ostatnio zupełnie otwarcie reklamuje satanizm.

Ale chciałem ci zwrócić uwagę, że tam ukazują się twoje wiersze.

Bardzo chętnie będę drukował dalej.

W pieprzonym „Tylko Rocku"?

Oczywiście, ale to nie zmienia faktu, że ta gazeta już teraz promuje satanizm. Ja nie wiem czemu to ma służyć. Ostatnio widziałem całą szpaltę wydawnictw satanistycznych. No i te wywiady, gdzie idol nastolatków ani cienia skruchy nie pokazuje, bo ja bym rozwiązał zespół, jakby coś takiego się stało.

Rozwiązałbyś zespół, a jednak współpracy z gazetą, która propaguje satanizm, nie chcesz zrywać.

Ale oni sami już za bardzo się mną nie interesują.

Ale ty byś nie chciał zrywać.

Ja uważam, że tam gdzie komuś trzeba pomóc, to trzeba być. O to mi chodzi. Jeżeli mogę w tę gazetę wnieść cokolwiek dobrego, to ja to będę robił. Obojętnie co oni tam wypisują, bo w takim wypadku to powinienem przestać udzielać wywiadów , facetom z „Brumu" czy „Tylko Rocka". Albo w ogóle nie grać muzyki rockowej. Ale jeśli tam piszą długie recenzje jakichś „Chwała mordercom św. Wojciecha", no to panowie, chyba ktoś tu zwariował. Redaktor naczelny albo jego zastępca. A to jest „najlepsze" pismo rockowe w Polsce. Nie wiem dla kogo, bo nie dla mnie. Dla mnie nie ma dobrego pisma tego typu. Chociaż „Brum" jest o wiele lepszy.

A jak byś zinterpretował słowa Chrystusa, że nie rzuca się pereł przed wieprze, w związku z tym, że współpracujesz z „Tylko Rockiem"?

Ja ci w tej chwili nie mogę powiedzieć, jak to się ma do tego, co robię. Dla mnie istotną rzeczą jest starać się ratować człowieka, rozumiesz. Nie ma Chrześcijaństwa bez pragnienia o zbawienie innych. Jak widzisz, jak twój brat tonie w gównie, w bagnie i w dodatku nie zauważa tego, to nie chcesz mu pomóc?

No i pomagasz wskakując do gówna.

A co ja robię? Skoczyliśmy w gówno. Widzisz, nadeszły takie czasy, że już nie ma co się obcęgalać.

Kiedyś tak nie było?

Nie, nie było tak źle, jak teraz. Atak jest potężny i można powiedzieć, że demon opanował prawie całe media. A człowiek, który z tego korzysta, to tak jakby pił truciznę. Ja uważam, że piosenka „Sh'mma Israel" mogła być ogólnopolskim przebojem, spełnia warunki. Ale nie jest być, bo nikt jej nie puści do „wolnych" mediów.

A wracając do Slayera, jak dużą odpowiedzialność zespół ponosi za swoich fanów?

Jaką ponosi? Całkowitą.

Sam mówiłeś na początku rozmowy, że nikogo nie namawia się do kupowania płyt.

Wiadomo. Ale zrozum, że pewne rzeczy powstają ewidentnie pod wpływem demona. Jeżeli ktoś zabił się, bo usłyszał w czyjejś piosence, że to samobójstwo jest dobre, to kto jest odpowiedzialny za jego śmierć? Ci ludzie, którzy to nagrywają, oni sami są ofiarami, to biedni ludzie, bo nie ma nic za darmo.

Czyli zgodzisz się, że światem „władają potwory"?

Słuchaj, „do Boga należy cała ziemia i wszystko, co ją napełnia". Tak jest w psalmie. „Jezus jest Panem". Tylko chodzi o to, że człowiek ma wolną wolę. Bóg go nie stworzył niewolnikiem. I ludzie wybierają zło. Teraz jest atak na chrześcijaństwo, żeby ośmieszyć, zniszczyć, żeby ludzie właściwie nie wiedzieli, gdzie jest dobro, bo źródłem dobra jest Bóg. Diabeł chce zrobić piekło.I to teraz! Jeżeli już ktoś jest na świecie prześladowany, to są to właśnie chrześcijanie. Europa Zachodnia jest już właściwie prawie pogańska. Człowiek wybiera i robi sobie piekło na ziemi. Bo ktoś powie: „to Pan Bóg jest odpowiedzialny za jakiś Oświęcim". Nie, to człowiek, dlaczego na Pana Boga zrzucasz? Pan Bóg ci kazał zabijać? Żydów do komór gazowych wpychać? Proszę, masz Pismo Święte i czytaj, co Pan Bóg ci każe robić! Gdzie jest napisane, że ci Bóg każe, żebyś ty zabijał i szedł na wojnę?

No ale Stany, kraj z którego, jak mówisz idzie najwięcej gówna, to kraj bardzo religijny.

Tak, tam ludzie mają jeszcze olej w głowie. Owszem, wychodzą stamtąd bardzo złe fluidy, ale i chrześcijaństwo jest bardzo mocno ugruntowane. Ale mniejsza z tym. Współczesna kultura to jest Babilon. Globalne miasto. Nie wioska. Bo nie wiem, czy zauważyliście, na wsi nie ma już kultury wiejskiej. Na wsi nie mieszkają wieśniacy. Poprzez odbiornik telewizora wszyscy stali się miastowi. Jedna wielka babilońska kultura. A już internet, satelity, dobranoc państwu. Mnie sytuacja obecna przypomina sytuację apokaliptyczną. Jeżeli wejście do internetu to WWW, a „w" w hebrajskim odpowiada szóstce, no to wejście do internetu to 666. Sporo takich interpretacji tego imienia bestii odnosi się do komputera.

Jakie jeszcze?

Największy komputer w Europie, który jest w Brukseli, ma przezwisko „Bestia". Na przykład. No ale ja jestem człowiekiem starej daty, żyję w innej kulturze i jestem skazany przez Babilon na zagładę. Kultura współczesna to już nie goni, ale galopuje, wręcz zapierdziela odrzutowcem. Ale to już nasze dzieci będą w tym piekle na ziemi żyć, bardzo mi ich żal.

Niekoniecznie, może być krach technologiczny.

Wszystko może być. Postęp w dziedzinie informatyki jest jeszcze gorszy od bomby atomowej, która nie wybuchnie, chyba że dorwą się do niej szaleńcy.

Twoje mało wesołe wizje są podobne temu co wróży większość polskich fantastów. To jest trend.

No cóż, ja nie mam złudzeń co do intencji demona. On chce człowieka zabić. A najlepiej, żeby człowiek zabił się własnymi rękami. Rozumiesz, sam szatan nie może przyjść i ci dać w łeb. On może tylko szeptać komuś do ucha „zabij go, zabij!" albo tobie samemu „powieś się!". I on robi wszystko ku temu właśnie. A on ma pod sobą prawie całe media, tak mi się wydaje. No cóż, niewesoło, ale jak mówię, Jezus jest Panem, Diabeł nie ma takiej władzy nad człowiekiem, żeby człowiek nie mógł wrócić do Boga.

Rozmawiali: *Marcin Bronhard, Krzysztof Głuch, Michał Protasiuk*

Wojciech Szyda

RIFF

1.

Johny Telfer, gitarzysta zespołu „The Lightings", zataczał się hotelowym korytarzem. Skończyli trasę i należało to uczcić. Przedwczoraj zagrali ostatni kocert w Vale Hovin w Oslo. Libacja trwała już trzeci dzień. Johny nie miał zdrowia wytrwać do rana. Ile można ?...

Otworzył drzwi kartą i wszedł do pokoju. Zdjął buty, usiadł w fotelu i włączył kanał z kreskówkami. Nareszcie sam. Odnieśli największy sukces w karierze, lecz szaleńcze tempo trasy odbiło się na zdrowiu Johny'ego. Od dwóch tygodni „jechał na rezerwie". Najpierw pół roku pracy nad płytą „The Pictures". Zebrała entuzjastyczne recenzje, a „The Lightings" okrzyknięto odnowicielami rocka. Od trzech miesięcy album był w pierwszej dziesiątce „Billboard'u". Potem promocyjna trasa, widowiskowa i wykańczająca. Dwadzieścia siedem koncertów, za każdym razem komplet widzów. Sukces przez duże $.

Pod koniec trasy Johny zaczął nawalać. Najgorzej było tydzień temu. Hanowerski Niedersachsenstadion, pięćdziesięciotysięczna frekwencja, nagłośnienie *quadro-surround*, lasery, wirtualne animacje, sztuczne ognie, furkot helikopterów oraz muzyka stapiająca się z burzą oklasków i owacją tłumu. Kiedyś uwielbiał tę atmosferę. Teraz z trudem wytrwał do końca. Standardowe solówki, zero inwencji - wszystkie kawałki wykonane taśmowo, bez życia. Widział publiczność i bał się jej. Anonimowy, falujący tłum, wielogłowy smok oczekujący na daninę. Wszyscy wpatrzeni i wsłuchani w Johny'ego, tysiące par oczu i uszu. Wyznał to reszcie chłopaków, lecz nikt nie podzielał jego obaw. Pocieszali go, poklepując po plecach i stawiając drinki, a Johny wciąż czuł się jak ruchomy cel.

Zjadł sałatkę z tuńczykiem i popił wodą. Do końca roku mają nagrać płytę. Sam podpisał taki termin i teraz gorzko żałował. Najchętniej przez rok odpoczął-by od muzyki. Czuł się przeciążony. Najwięcej obowiązków spoczywało na nim - pisał teksty, wymyślał riffy. Był zupełnie wypompowany z pomysłów.

Pięć miesięcy później, po kolejnej wizycie u psychiatry, Johny utwierdził się w swoich obawach.

2.

Po sesji nagraniowej wróciłeś do hotelu i chciało ci się wyć. Po drodze kupiłeś butelkę Gold Label i zacząłeś pić już w windzie. W studiu przesłuchaliście materiał i byliście zażenowani. To ma być „The Lightings"?! Wtórność tej muzyki przeraziła was. Nudne, banalne kompozycje, nic odkrywczego. Zdesperowani postanowiliście pójść na żywioł. Usiedliście przy instrumentach i zaczęliście *jam session*. Chłopcy robili, co mogli, sekcja rytmiczna brzmiała świetnie, ale tematy jakie im podrzucałeś były bez wyrazu. Trzy godziny grania, z czego na płytę nadawało się może pięć minut. Potem była awantura, rozwaliłeś swojego Fendera o ścianę, naubliżałeś wszystkim i trzasnąłeś drzwiami. Odkąd rzuciła cię Pamela, zacząłeś pić. Twój świat walił się w gruzy.

Usiadłeś naprzeciw lustra i sączyłeś whisky. Gapiłeś się w lustro i nie poznawałeś siebie. Bełkotałeś do lustra:

- Kończysz się, facet, twoja gwiazda gaśnie...

Wznosiłeś toasty, perwersyjnie upijałeś się rozpaczą.

- Za piękny koniec... Za niespełnienie... Za młodą śmierć...

Gdyby Szatan zaproponował ci powrót do formy w zamian za duszę, wyraziłbyś zgodę. Wypiłeś już pół butelki. Nagle lustro zaczęło się wybrzuszać. Twoje odbicie zniknęło, a w jego miejsce pojawiła się szara magma. Zamrugałeś, lecz obraz nie znikał. Siedziałeś jak sparaliżowany, nie mogłeś oderwać wzroku. Z magmy wyłoniła się twarz. Czekałeś, aż ponownie ujrzysz siebie. Krzyknąłeś widząc obcego człowieka. Blady, ciemnowłosy mężczyzna o chorobliwym spojrzeniu. Jego oczy jarzyły się czerwono. Na głowie miał rogi. Odskoczyłeś tłukąc butelkę. Wtedy on zaczął się śmiać. Zapaliłeś światło i wybiegłeś na korytarz.

Rano, na kacu, zadzwoniłeś do psychiatry. Wyjaśnił ci, że to przez whisky. Delirium, majaki poalkoholowe. Kazał ci odstawić alkohol i wyjechać na Hawaje. Nie zrobiłeś ani jednego, ani drugiego.

Sytuacja w zespole była coraz gorsza. Nie poszedłeś na sesję nagraniową. Zadzwonił menadżer, zaczął cię ochrzaniać. Rozłączyłeś się. Miałeś ochotę zdemolować pokój. Zamiast tego wyrzuciłeś słuchawkę przez okno. Nalałeś burbona, zapaliłeś jointa. Zataczając się podszedłeś do lustra. Ujrzałeś obcą twarz.

- Czemu mnie dręczysz?

- Chcę ci pomóc.

- To daj mi spluwę.

- Zamknij się i słuchaj. Wiesz kim jestem, bo sam mnie wezwałeś.

- Jesteś Szatanem.

- Tak. Moje imię brzmi Astaroth.

- Czego chcesz?

- Mam dwie wiadomości. Zacznę od tej gorszej. Cóż, Johny, Piekło istnieje, a ty nie byłeś prawiczkiem. „Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tam wchodzicie..." *Vulgo*: jesteś potępiony i nie jesteś w stanie odpokutować swoich grzechów.

- Chrzanisz!

- Wyjątkowo mówię prawdę.

- Więc - podniosłeś się z fotela. - Więc tym bardziej się odpierdol! Skoro jest tak, jak mówisz, nie możesz mnie niczym zaszantażować. Spływaj.

- Chcę ci pomóc.

Porwał cię śmiech.

- Piekło, ha, ha, ha!... Diabeł w lustrze! Przedawkowałem i teraz mam zwidy. Ciebie nie ma! - popukałeś się w czoło: Mieszkasz w moim chorym mózgu... I tutaj - wskazałeś butelkę. - I tu - wskazałeś popielniczkę.

- Mogę udowodnić, że się mylisz.

- To wyjdź z lustra... Hej, gdzie jesteś?

Odwróciłeś się gwałtownie i spostrzegłeś mężczyznę siedzącego w fotelu. Bawił się gitarą.

- A teraz słuchaj: odzyskasz talent. Jutro obudzisz się w świetnym nastroju i będziesz tryskał pomysłami. Pojedziesz do studia i zagrasz chłopakom kilka riffów. Wszystkim opadną szczęki. Za pół roku nagracie swoją najlepszą płytę.

Zamurowało cię.

- Oprócz tego przyjmiesz ode mnie prezent.

- Co takiego?

- Prezent, Johny. Riff wszechczasów. Kilka akordów, które rzucą słuchaczy na kolana. Wszystkie inne riffy zbledną w zestawieniu. „Lotta" Zeppelinów, „Smoke On A Water" Purpli, „Break On Through" Doorsów... Każdy, kto go usłyszy, już go nie zapomni. Będzie działał jak narkotyk. Ludzie staną się niewolnikami kilku dźwięków.

- Czego chcesz w zamian?

- Pewnej rzeczy, która jest dla ciebie bez znaczenia. Podpiszesz cyrograf. Będzie to czysta formalność. Jesteś jak Faustus Marlowa - potępiony za życia, ja jed-

nak muszę trzymać się tradycji. Jeden podpis, Johny i wasze płyty osiągną rekordowe nakłady. Wasze fankluby zamienią się w sekty. Będzie otaczał cię boski kult.

Milczałeś.

- Jeszcze jedno. Stworzysz utwór oparty na riffie. Zatytułujesz go „Odwrócenie". Zagrasz go jako premierowy utwór na najbliższym koncercie. Za dwa tygodnie w Londynie na Live Aid. Po koncercie będę czekał w hotelu. Wtedy podpiszesz cyrograf. Jakieś pytania?

- Nie mogę pojąć: jak kilka dźwięków ...?

- Bo nie pojmujesz istoty Rytmu. Rytm jest czymś pierwotnym i atawistycznym. Rytm jest archetypem sięgającym plemiennych obyczajów. Rytm jest zakorzeniony głębiej niż świadomość. Rytm to przedwieczna inkantacja rezonująca w ciele i w duszy. To pulsacja zawarta w instynkcie i transcendencji. To fizjologia i metafizyka, puls serca i spazm kopulacji. Rytm to wdech i wydech. Rytm to modlitwa, różaniec i mantra. To echo kosmicznego wahadła odmierzającego czas nieskończony. Rytm to narzędzie, za pomocą którego można panować nad tłumami, kontrolować ludzi, sprawić, by pochylili głowy.

Omal nie zaczarował cię tymi słowami. Gdy się ocknąłeś, Astaroth ułożył palce na gitarze.

- Teraz słuchaj.

3.

Zostałem sam na scenie, światła zgasły. Po bisach przyszła pora na ostatni numer. Publiczność na Wembley Stadium była trochę zaskoczona. Słyszałem dogasające oklaski, pojedyńcze gwizdy. Blade, fioletowe światło pulsowało niemrawo. Nad sceną wielki napis: „Live Aid 2009". Niebieski spot oświetlił miejsce, w którym stałem. Widownia oszalała. Czułem ich spojrzenia, ostrożnie przesuwałem palcami po gryfie. „Johny! Johny!" Czekali.

Miałem zagrać riff, dzięki któremu koncert przejdzie do historii. Osiem akordów: osiem chwytów i osiem szarpnięć. I tak - w różnych modyfikacjach - przez cztery minuty. Muzyka podarowana przez diabła. Przedwieczny rytm, mantra mantr. Stadion pulsował bisami. „Johny! Johny!"

Podszedłem do mikrofonu.

Zamknąłem oczy. Zacząłem stroić Fendera, by zyskać na czasie. W końcu podjąłem decyzję. Byłem spokojny.

- Utwór nazywa się „Przemienienie" - rzuciłem do mikrofonu, a następnie w skupieniu, zagrałem szybki, dynamiczny utwór instrumentalny.

Gdy skończyłem, publiczność biła brawo. Na niebie ujrzałem spadającą gwiazdę. Uczucie, które pamiętałem z dzieciństwa. Byłem wolny, wciąż mogłem zmazać grzech. Na to nigdy nie jest za późno. Zagrałem riff, tylko że od końca. Osiem akordów, od ostatniego do pierwszego. Odwrócenie. Pokonałem diabła.

Gniezno, 27. VII. 1998 r.

„Każde przeznaczenie, jakiekolwiek by było długie i skomplikowane, składa się w rzeczywistości z jednego tylko momentu - z momentu, w którym człowiek dowiaduje się raz na zawsze, kim jest."

* * *

„Być nieśmiertelnym nie jest rzeczą niezwykłą; wszystkie zwierzeta oprócz człowieka są takie, gdyż nie znają śmierci; rzeczą boską, rzeczą straszną, rzeczą niepojętą jest wiedzieć, że jest się nieśmiertelnym."

Jorge Luis Borges

Krzysztof Głuch

Epigon

1-kontynuator przeżywających się kierunków sztuki
2- nietwórczy naśladowca utalentowanych poprzedników

Ze słowem tym zetknąłem się tak naprawdę świadomie w tekście Lewandowskiego (z poprzednich „Innych Planet"), głoszącym, że polskiej SF skończyło się ideowe paliwo, jakim było uwieranie świata i grozi nam smutny los Młodej Polski.

Określenie obecnych debiutantów „epigonami" jest mocne, jak cios w twarz. Dla pewności chwyciłem za słownik i znalazłem tam dwie definicje. Wszak to istotne, czy fantastyka końca wieku pójdzie do piachu z winy epigonów w sensie (1), sensie (2), czy też (1+2=3).

(1) Czy kierunek sztuki - fantastyka może się przeżyć? Trudno sobie wyobrazić spadek zapotrzebowania na nią, ale przecież kiedyś jej nie było, więc czemu teraz nie miała by zniknąć? Wszak to zaledwie drobny wycinek prozy, a przeżywały się już całe rodzaje literackie (nauczyłem się tej nazwy w podstawówce), ot chociażby poezja (rodzaj - liryka) końca wieku ma ze sobą spore problemy.

Czyli umrzeć może wszystko. Ale sięgnijmy przyczyn. Skąd fantastyczne paliwo i czy złoża są już na wyczerpaniu? Na pewno szczególnego natchnienia nie dostarcza zło wszechświata, gdyż wiadomo, że jest ono wieczne i nie zabraknie go na pewno.

Głównym składnikiem mieszanki napędzającej SF jest wytłumaczalny rozwój świata. Gatunek ten rzucił się na mózgi wówczas, kiedy świat ruszył z miejsca na tyle, że człowiek zauważył proces historyczny. Spojrzał w tył, spojrzał do przodu i wydało mu się, że wie co się stanie i to go strasznie pasjonowało. Pierwsze takie teksty rodziły się w Oświeceniu, kiedy cywilizacja powoli się rozpędzała. Najpierw u Swifta i Krasickiego (ech, te klechy) ocean zastępował kosmos, lecz wciąż nie umieli oni wybiegać myślą wprzód. Potem jakiś mało utalentowany (stąd pamiętają o nim tylko filolodzy) naukowiec wyniósł bohaterów na księżyc i datował fabułę kilka lat do przodu. Potem oczywiście mieliśmy Wellsa, którego wszyscyśmy epigonami.

Można by się pokusić o sąd, że jedno z najwcześniejszych fantastyczno-naukowych spojrzeń rozwinęło się u Hebrajczyków w Starym Testamencie. Tyle, że w tym wypadku nauką mającą coś wyjaśniać jest teologia. Szkoda, że mało empiryczna to nauka, ale o lepszym wykładowcy nie słyszałem. Jakkolwiek hipoteza o dziejach jest przejrzysta (stworzenie świata, upadek anioła i człowieka, wyszkolenie wyselekcjonowanej grupy społecznej, która tworzy grunt pod zesłanie Mesjasza i odkupienie przez niego świata, ogarnięcie doktryną reszty ludzkości, koniec świata) i ponoć dotąd działa jak zegarek (z tym, że np. Żydzi czekają jeszcze na Mesjasza). Na pewno działa lepiej od hipotez ludzi, takich jak ta Marksa, która wymaga poprawek. Zrozumiałe to jednak. Tę naukę tworzył człowiek, i jak na przykład fizykę, ciągle należy ją dostosowywać do sprzecznych z teorią odkryć.

Nie bez powodu tak o tym Starym Testamencie piszę, bo jednak zauważyć się daje, że po dwóch wiekach rozwodzenia się technokratów nad nowymi wynalazkami, socjalistów nad szczęśliwymi ustrojami, wojskowych nad podbojem wszechświata, psychologów, biologów, całkiem licznych oceanologów i innych, coraz więcej wśród fantastów domorosłych teolo-

gów, gnostyków różnej maści. Natomiast pisana przez nich literatura, na tym końcu tysiąclecia, to epigonizm po proroctwach Pawła z Tarsu.

Wniosek więc taki, że póki trwamy w tym tempie rozwijania się, to pokusy, żeby przewidywać, nie zabraknie. Sam świat na-

tomiast zatroszczy się by nie zabrakło nam w nim inspirującej niewygody. Drżeć chyba jednak można przed modną wizją Nowego Średniowiecza, które może powstać z przegrzania koniunktury, a „fachowcy" mówią, że lada dzień zapanuje feudalizm. W takim wypadku radzę wszystkim piszącym już próbować sił w pieśni rycerskiej. W zasadzie w fantasy o to chodzi, więc ten gatunek, po korekcie uwspółcześnienia realiów (kije baseballowe, szamani New Age'u) może zająć miejsce SF.

(2) A czy przypadkiem fantastyki nie wykończą „nietwórczy naśladowcy"? Powiem, że nie wiem, jacy są i będą naśladowcy, ale zapewniam, że z fantastyką nie pójdzie im tak łatwo. Owszem, garstka nietwórczych naśladowców straszliwsza dla sztuki niż zastępy cenzorów, mecenasów i wydawców, niż wojny i pożogi. Dobrze wyszkolone ruchliwe odziały nietwórczych naśladowców sieją zniszczenie w polskiej (i zagranicznej) kinematografii, w muzyce, w literaturze. Nie mają litości, ale klnę się, że fantastyki tak łatwo nie wezmą, bo fantastyka rodziła się w miernocie, w amerykańskich szmatławcach, stosach radzieckiej utopijnej makulatury, także w Polsce teksty z „Młodego Technika"... sami wiecie. Fascynacja kiczem jest bardzo charakterystyczna dla fanów SF. Nie będę się też powtarzał z tezą Ziemkiewicza, że w tym gatunku, jak w legendach, przerabia się wciąż te same przechodnie motywy, a jakość utworu jest drugoplanowa wobec pomysłu. Na dowód przytaczam najlepsze (zdaniem kilku znajomych) opowiadanie polskiej SF ostatniej dekady - „Karę Większą", (która jest w zasadzie dość kiepskim tekstem), albo autora najlepszej (zdaniem Lema) polskiej powieści SF - Janusza Zajdla, którego twórczością raczej gardzą filolodzy. Tak więc bez strachu, odrobinę beztalencia fantastyka jest w stanie wchłonąć i jeszcze się wzmocni. Ale przestrzegam, kino SF stosuje się do tej reguły już od lat i chyba wpadło w błędne koło.

Powiecie, co ja tu filozuję i z jakimś dziejowym procesem, z analizą krytyczną wyskakuję, kiedy chodzi jedynie o to, czy ta garstka ludzi klawiatury będzie pisać dobre teksty, czy obecni debiutanci z dzieł znośnych przejdą do arcydzieł w każdym znaczeniu (tak żeby żaden ramol się nie przyczepił - musi być dobre dla egzegety, dla tłumu, kultowe, przepiękne, mądre i wzruszające, czy to tak wiele?). Przyznam, że nie wiem skąd się ci geniusze mają wziąć. Tak jak nie wiem, skąd w międzywojennej Polsce było tylu genialnych matematyków. Ostrzegam jednak, że takich matematyków już w Polsce nie ma. M. Szurek skomentował to: „Fala aktywności społeczeństw ma to do siebie, że raz wzbudzona - zanika powoli".

Wojciech Szyda

Diabe³ w cytatach

1 Szatan (*„Duch wszelkiego przeczenia”, „Ojciec kłamstwa”*) jest według najsłynniejszej literackiej definicji - *„tej siły cząstką drobną, która wiecznie zła pragnąc wiecznie czyni dobro”*. Słowa Goethego z „Fausta” (użyte przez Bułhakowa jako motto do „Mistrza i Małgorzaty”) świetnie oddają diabelską pokrętność, która jest (obok bycia powiernikiem zła) cechą konstytutywną Szatana. Słowo „Szatan” wywodzi się z hebrajskiego *Satan* (przeciwnik), a określenie „diabeł” z greki (*diabolos* - niszczyć, dzielić, oszukiwać, rzucać oszczerstwa). Bez względu na lokalny koloryt oraz literacką odmianę pozostaje on wcieleniem fałszu. Milton w „Raju utraconym” przedstawił diabła jako upadłego anioła, postać tragiczną; w „Fauście” i „Kordianie” jest on libertynem-wolterystą, błyskotliwym filozofem wyrosłym z tradycji oświecenia. Etc, etc.

2 *„Mowa wasza niechaj będzie: tak, tak; nie, nie. Wszystko inne w języku przynależne jest diabłu”*. Te słowa Chrystusa demaskują działanie Szatana poprzez język. Księga Zohar (XIII w.): *„Słowa nie padają w próżnię”*; „Faust” Goethego: *„Słowem się tnie jak ostrza świstem, słowami tworzyć można system, słowom skwapliwie się dowierza...”* Czy nie na tym polegały XX-wieczne totalitaryzmy, czy nie na tym bazuje dziś polityczna poprawność? Semantyczna mistyfikacja to domena diabła, który u Orwella („Ministerstwo Prawdy”) przemawia poprzez terror, a obecnie, u postmodernistów, poprzez semiotyczno-dialektyczną żonglerkę.

„Tak, tak; nie, nie...”; zło to zło, dobro to dobro, grzech to grzech, a cnota to cnota.

3 Zło zawsze było atrakcyjnym tematem dla pisarzy i poetów, fascynowało grzesznie, przyciągało magnetycznie, jak zakazany owoc kuszący Adama i Ewę. Dante, Milton, Szekspir, Goethe, Boudleaire, Lautreamont, Dostojewski - to tylko wierzchołek literackiej góry. Na tej kanwie powstawały arcydzieła, a co mądrzejsi twórcy sprawiedliwie osądzali zło, nie doprowadzając swych fascynacji do patologicznego obłędu. *Vulgo*: ciekawość nie przeradzała się w afirmację. To drugie zjawisko obserwujemy dzisiaj np. u długowłosych kretynów z black-metalowych kapel, intelektualnych i uczuciowych małpoludów, którzy na okładkach płyt publikują bluźnierstwa ikonograficzne, zdjęcia zmasakrowanych zwłok, i podobne delikatesy (rzeczy niskie artystycznie i moralnie). Korzeni tego zjawiska trzeba szukać u intelektualistów owładniętych ideą destrukcji (np. w traktatach, dramatach oraz wierszach młodego Marksa; sto lat później twórczo skopiuje go Charles Manson). Nieporozumienie bierze się stąd, że fascynacja złem uniemożliwia dostrzeganie tego, co dla zła esencjonalne - okrucieństwa i krzywdy. Ubieranie zła w pseudomistycyzm i perwersyjną estetykę skrzywia optykę spojrzenia na zło, maskuje fakt, że jądrem zła jest zawsze **ciemność.**

4 Ciekawe spostrzeżenia poczynili Philip K. Dick i Janusz Zajdel. Pierwszy stwierdził, że *„moce piekielne żywią się najwyższymi instynktami w człowieku”*, drugi, że *„sługi Szatana rozpoznajemy po gorliwości, z jaką zaprzeczają istnieniu Piekła”*.

Spróbujcie przemyśleć te prawdy przez pryzmat doświadczeń XX wieku.

5 Nie należy zatem współczuć diabłu, tak jak nie należy współczuć złym ludziom. Chodzi o uczciwość, którą „Talmud" formułuje tak: *„Ci, którzy współczują nikczemnym, są okrutni wobec sprawiedliwych"*. A w ogóle cały ten felieton można sprowadzić do jednej uwagi Machiavellego: *„Droga do Piekła jest zawsze łatwa, idzie się bowiem w dół i z zamkniętymi oczami"*. Nic dodać, nic ująć; może poza tym, że czasami wystarczą ciemne okulary.

Piotr Prytulak

Przyjaciel

Słońce, jak zwykle, praży niemiłosiernie. Taki klimat. Leżę sobie i od czasu do czasu piję trochę wody. Dzień jak co dzień. Dookoła mnóstwo pięknych kobiet. Ja patrzę na jedną. Jej opalone ciało połyskuje w słońcu. Spogląda na mnie, lekko się uśmiecha. Podchodzi i gładzi mnie po łopatkach. Wyprężam się z zadowolenia, czując jak po plecach przechodzi mi dreszcz. Uwielbiam kiedy to robi - wiecie, takie delikatne drapanie, przechodzące w głaskanie. Spędzamy tu wakacje, wiecie? To może nie miesiąc miodowy, ale – przyznam z dumą – jesteśmy razem już od trzech lat.

Kiedy idziemy ulicą, faceci oglądają się za nią. Ona nawet na nich nie spojrzy. Patrzy na mnie i uśmiecha się jak Mona Lisa. Uwielbiam ją za to. Chociaż czasami, kiedy robi tak do innych, czuję się jak zbity pies. Ona czasami zachowuje się jak... suka, no! Może przemawia przeze mnie zazdrość, ale nikt nie jest doskonały.

Mieszkamy w małym domku nieopodal plaży. Możecie nie wierzyć, ale uwielbiam spać na werandzie. Czuję wtedy różne zapachy unoszące się w okolicy. Potrafię je wszystkie zidentyfikować. Uwielbiam tak spać. Wiecie – posiadamy też mały ogródek. Uwielbiam grzebać w ziemi. To jest prosta radość życia. Myślicie pewnie, że jestem nudnym domatorem. A właśnie, że nie. Bardzo lubię spędzać czas w towarzystwie. Na przykład biegając z przyjaciółmi po plaży.

Czuję się wtedy tak wspaniale, że macham ogonem z radości.

Maszyna do pisania vs komputer

Nie wszyscy pewnie wiedzą, że u progu lat dziewięćdziesiątych fantastyka polska przeżyła istną komputerową rewolucję. Oto pisarze i tłumacze, zachwyceni możliwościami edytorów tekstów, jeden po drugim zaopatrywali się w pecety, odstawiając w kąt maszyny do pisania. Środowisko podzieliło się na dwie frakcje: na rosnących w siłę komputerowców i topniejącą garstkę dinozaurów, uparcie obstających przy klekotliwych maszynach. Podział ten trwa do tej pory, a obie strony mają obyczaj czasem słownie ścierać się przy piwie, podnosząc zalety posiadanego urządzenia. Z pozoru problemu jakoby nie ma: na ekranie jest przecież to samo, co na nawiniętej na wałek kartce papieru. Ale z drugiej strony oba te urządzenia dzieli sto lat rozwoju - maszyna do pisania zestawiona z pecetem to proca konkurująca z kałasznikowem. Czy rzeczywiście ta diametralna odmienność obu urządzeń nie wpływa na styl, sposób pisania? Czy chodzi tylko o tak oczywistą sprawę jak szybkość klawiatury, czy może o coś więcej? Czy naprawdę komputer bez reszty wyprze maszynę, która podzieli los zniszczonych przez koleje żelazne dyliżansów? Dwa lata temu na olsztyńskim zlocie pt. Poligon V2 stawił się kwiat krajowej fantastyki: pisarze, redaktorzy i tłumacze, których postanowiłem wypytać, co sądzą o wyższości komputera nad maszyną do pisania (bądź odwrotnie):

Andrzej Sapkowski (pisarz, gwiazdor fantasy): Każde uderzenie w klawisz maszyny do pisania nieodwołalnie oznacza odbicie znaku - na komputerze każdy znak zawsze można poprawić. Poza tym chodzi o szybkość pisania, sam stukałem w maszynę bardzo dobrze, całe dwadzieścia lat. Kiedy jednak usiadłem przy klawiaturze komputera, okazało się, że piszę dziesięć razy szybciej, nie mówiąc o hałasie, np., gdy mieszkałem w Berlinie, to mogłem trzaskać w maszynę tylko do jedenastej wieczorem, w przeciwnym wypadku sąsiedzi wzywali policję. W Łodzi za to walili mi miotłą w sufit. Ale przede wszystkim chodzi o szybkość, kiedy się nauczymy operacji tekstowych, możemy jednym kliknięciem likwidować całe spartaczone akapity. I to jest naprawdę zachwycające.

Marek S. Huberath (pisarz, fizyk i alpinista): Zawsze piszę na kartce i ołówkiem kreślę i bazgrzę. Może dlatego, że chcę widzieć „geometrię" tekstu, w jakim porządku te słowa są ułożone, jak się lokują na stronie. Potem to przepisuję na komputer, robiąc pierwszą korektę. Później oczywiście pracuję nad tekstem dalej, przeglądając go po raz drugi i trzeci. Za każdym razem sporządzam kopię na papierze, nie oglądam tekstu na ekranie. Nie potrafię na nim znaleźć proporcji - ekran pokazuje tylko jedną trzecią strony. To za mało. Nie widzę nawet początku czy końca pisanej właśnie sceny. Najlepiej mi się pracuje, gdy leżę w namiocie po wycieczce w góry z kajetem pod ręką - wtedy mi się świetnie poprawia i tworzy.

Rafał A. Ziemkiewicz (pisarz, publicysta, ex-polityk): Nie piszę tak gładko jak inni, zdanie po zdaniu, aby skończyć stronę i zacząć następną. Wielokrotne wracam i poprawiam, zmieniam i dopisuję. Cały czas skaczę po tekście - może dlatego, że go nie tyle piszę, co z siebie wymęczam. Do tego celu komputer jest narzędziem niezastąpionym, ponieważ pisząc w

ten sposób na kartce musiałbym przepisywać tekst piętnaście razy, strona byłaby tak zamazana, że nieczytelna. Natomiast na komputerze mogę to robić stosunkowo bezboleśnie. Gdy zaczynałem swoją przygodę z komputerem, zrazu podobnie jak wszyscy przepisywałem rękopis, ale prędko nauczyłem się pisać na nim bezpośrednio. Pewnie miała na to wpływ moja praca w radio, gdzie m. in. przygotowywałem serwisy i gdzie trzeba było być szybkim - tego praktyczne nie dało się robić inaczej niż na komputerze. Tak się przyzwyczaiłem, że w tej chwili nie tylko nie potrafię pisać „ręcznie" (zawsze bolała mnie od tego ręka), ale też już nie potrafię stukać w maszynę.

Maciej Parowski (redaktor naczelny „Nowej Fantastyki"): Zostałem przy maszynie, bo nie mam komputera. Ale też bardzo jestem związany z moją maszyną do pisania, kupiłem ją w 1967 roku. Lubię to stukotanie, nie wyobrażam sobie, abym miał pracować na ekranie - muszę mieć papier. Lubię wiedzieć, co już napisałem. Komputer zostawia tylko ostatnią myśl, to, co raz skasowane, przepada. Cały mój metabolizm pisarski jest nastawiony na papier, kartkę - chcę widzieć, jakim tekst ulega przekształceniom, jaką przebył drogę od pierwszej wersji. A komputer tego nie umożliwia. Zresztą Conrad czy Szekspir nie posiadali komputera - nie istnieje dowód, że ta elektroniczna maszynka wpływa na jakość pisania.

Piotr W. Cholewa (tłumacz i matematyk): Na komputerze jest szybciej, wygodniej i palce się nie męczą, poza tym zużywa on mniej papieru niż maszyna do pisania. Na komputerze mogę korzystać z paru słowników równocześnie. Dostęp jest szybszy niż przy sięganiu na półkę i mozolnym wyszukiwaniu. Edytory umożliwiają też błyskawiczną korektę błędu. A ja mam zwyczaj poprawiać wiele razy - gdybym to jeszcze musiał wielokrotnie przepisywać, to nigdy nie dotrzymałbym żadnego terminu. Dzisiaj nie mogę sobie wyobrazić, jak mogłem pisać na maszynie.

Jacek Sobota (pisarz): Komputer jest pewną łatwizną. Opowiadanie pisane na maszynie tworzy się zupełnie inaczej - trzeba skreślać, przepisywać od nowa, obrabiać ten tekst wielokrotnie. To daje lepszy efekt. Komputer rozleniwia, pisze się na nim zbyt łatwo, bezosobowo, płytko. Dlatego wolałem pozostać przy maszynie.

Maciej Żerdziński (pisarz i lekarz): Komputer daje możliwość błyskawicznej korekty wszystkiego, co się napisało, natychmiast można skasować zdanie czy nawet cały rozdział. Dlatego się na niego zdecydowałem. Mam teraz starego wraka 386, którego chciałbym zamienić na coś lepszego.

Paweł Ziemkiewicz (tłumacz, publicysta i biolog): Nigdy nie pisałem na maszynie, od początku pracuję na komputerze. Przetłumaczyłem na nim moją pierwszą książkę. To narzędzie pracy daje zupełnie inne możliwości niż maszyna, nie wyobrażam sobie pracy bez komputera.

Marek Oramus (pisarz i publicysta): Lubię maszynę do pisania, jak mi dzwoni w uszach, kiedy w nią stukam. Poza tym jest to pamiątka po ojcu. Podjąłem swego czasu dwie próby zakupienia komputera i obie skończyły się tragicznie. *[z ostatniej chwili - od kilku miesięcy Marek jest szczęśliwym posiadaczem nowiutkiego peceta przyp. red.]*. Doszedłem więc do wniosku, że Pan Bóg nie chce, abym miał komputer. *[czyżby?- przyp. red.]* W związku z tym od przyszłego tygodnia zamierzam przejść na gęsie pióro, aby powstrzymać samobójcze tendencje w łonie cywilizacji.

zebrał i opracował Jacek Inglot

Iwona Michałowska

Jolanta

Terry'emu Bissonowi – za Anglię
Chrisowi Carterowi – za wtorkowe wieczory
Williamowi Gibsonowi – za nowe ścieżki
Janis (J.R.)– za dopełnienie obrazu

Ostrzegali, że żelastwo może siąść, ale myślałam, że dotyczy to jedynie wielkich mózgów. A tu proszę – durna, czterościeżna pała dostaje kręćka z powodu nastania dwójki i trzech zer. Sam moment był zresztą niczego sobie, adekwatny do nastroju, w którym znalazłam się chwilę wcześniej. Coś jak trąba powietrzna: w centrum ja, a naokoło szał niebieskich ciał. Strumienie wszystkich ściegów, jakimi dysponowałam, w morderczym pędzie wokół własnej osi zlewały się ze sobą, kreując zaskakujące wizje: agenci FBI testujący aparaturę w rafinerii, Alva w pościgu za Duane'em Barrym, Jolanta w balowej kreacji w pałacu Kaisera. Gorzej było potem, kiedy trąba osiadła. Trzeba było rozejrzeć się wokół i dojść do wniosków.

Sylwestra spędzałam w Emmie, bo nie uśmiechało mi się latanie przez całą noc po Skylandach i tropienie kosmitów. W Vancouver jest koszmarnie zimno o tej porze. Przeszłam w Emmę z samego rana i zaczęłam szykować sobie kreację, bo w tamtych czasach bardzo się dba o tego rodzaju sprawy. Miałam nadzieję spotkać się na balu noworocznym z atrakcyjnym i dobrze wychowanym młodzieńcem o wdzięcznym imieniu Alva, w stosunku do którego pielęgnowałam subtelne i tkliwe uczucie. Byłam ogromnie wdzięczna mojej dalekiej kuzynce, księżnej von Einstein, skoligaconej z wysoko postawionym rodem Kaiserów, z którego Alva ów się wywodził, za to, iż zdołała postarać się dla mnie o zaproszenie na bal. Odbywał się on bowiem w położonym w centrum miasta pałacyku, pobudowanym przed laty na zamówienie stryja Alvy, Wilhelma Kaisera i służącym jemu i jego krewnym oraz ustosunkowanym znajomym za miejsce letniego wypoczynku, rozrywek, a niekiedy także i rozmaitych działań natury artystycznej.

Nietrudno się domyślić, że sprawienie sobie odpowiedniej na tę uroczystość kreacji wymagało niemałych nakładów finansowych, stąd w ostatnich tygodniach 1999 roku więcej niż zwykle czasu poświęcałam zarobkowaniu. Ponieważ praca na ogół sprawia mi ból przeogromny, postanowiłam zastosować środki drastyczne i wprost ze ściegu Scully, w którym spędzam większość pory nocnej, przechodziłam w Translator, ten zaś automatycznie odpalał plik *Rozwój recyklingu olejów smarowych* lub inny mu pokrewny, nad którym akurat się pastwiłam. Ku memu szczeremu zdziwieniu przejście odbywało się na ogół szybko i w miarę bezboleśnie. Moja miłość strumieniami lała się przez rury i komory rafinerii, a one odwdzięczały mi się na swój subtelny sposób. Nie uszedł mojej uwagi fakt, iż dzięki zastosowaniu konwersji z pominięciem ściegów pośrednich nie musiałam nazbyt często wchodzić w Jolantę, co trudno przecenić.

Kiedy przybyłam do pałacu, szeleszcząc jedwabiami i połyskując brokatami, oko moje natychmiast ułowiło boskiego Alvę i spoczęło na jego mężnej postaci na chwilę dostatecznie długą, by to zauważył, nie dość długą jednak, by wzbudzić szemrania gawiedzi. Wszelako Alva oble-

gany był przez damy przybyłe w okazalszych od mego strojach, co zafrasowało mnie odrobinę, nie na tyle jednak, by zachwiać mym niezłomnym postanowieniem zawładnięcia tej nocy sercem boskiego Alvy.

Gdy tylko tłum dam na moment się rozproszył, wiedziony jakimś godnym jego uwagi wypadkiem (zdaje się, iż było nim przybycie arcyksięcia Ferdynanda Wspaniałego), skorzystałam ze sposobności i posłałam Alvie uśmiech tak okazały, iż, nie mogąc mu się oprzeć, ruszył ku mnie niczym na postronku ciągniony.

- Witaj, pani – pozdrowił mnie aksamitnie. – Czyśmy się już kiedyś spotkali?

- Jestem Emma Valdés – powiedziałam. – Kuzynka księżnej von Einstein, która, o ile mi wiadomo, ma zaszczyt być również pańską krewną.

- Zatem zwolniła mnie pani z obowiązku przedstawiania się – uśmiechnął się uroczo boski Alva. – Czy pozwoli pani, że postawię jej drinka a konto naszej świeżo zainicjowanej znajomości?

Po chwili gawędziliśmy już na całego. Tak jak się spodziewałam, Alva okazał się młodzieńcem nie tylko urodziwym i szarmanckim, lecz także wybitnie inteligentnym i uzdolnionym. Jego rewolucyjny projekt udoskonalenia skonstruowanego przez Bella telefonu wprawił mnie w osłupienie, blednące jednak przy podnieceniu, jakie ogarnęło mnie, gdy spoglądając w jego orzechowe oczy słuchałam opowieści, z której stopniowo wyłaniał się największy wynalazek Alvy, a może i całej naszej epoki, wynalazek, który – jeśli zaistnieje w pełni – rzuci na kolana cały świat.

Alva postanowił mianowicie skonstruować maszynę do wszystkiego.

- Będzie tak mała – mówił – że każdy człowiek będzie mógł ją nosić wszczepioną o tu, pod skórą – przytknął palec do swojej skroni – i korzystać z niej, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Nazwę to implantem – powiedział – czyli wszczepem.

- Pan jest niezrównany – zaopiniowałam.

- Czy zechciałaby pani obejrzeć moje projekty? – zapytał z jakąś dziecinną natarczywością.

Nie bacząc na swą ułomność w dziedzinie nauk ścisłych, podążyłam za młodym wynalazcą ku schodom wiodącym do podziemi pruskiego gmaszyska. Wiódł mnie przez niezliczone, kręte korytarze, aż dotarliśmy do niewielkiego pomieszczenia, będącego najwyraźniej pracownią Alvy. Leżało tam mnóstwo metalowych i plastykowych części, niektóre poskładane w jakieś konstrukcje, inne zaś zupełnie odosobnione. Stało także biurko, a po nim walały się liczne papiery, przedstawiające jakieś zapiski, równania i szkice.

Pogrzebawszy chwilę w owych papierach, Alva wydobył jeden ze szkiców i wręczył mi go.

- Oto i ona – rzekł. – W skali 5:1. To znaczy, że w rzeczywistości będzie pięć razy mniejsza.

Zastanawiałam się, jakim sposobem tak niewinnie wyglądająca konstrukcja może być maszyną do wszystkiego.

- Chodzi o to – tłumaczył mi Alva – iż człowiek zwykł błędnie uznawać to, co postrzega jego pięć zmysłów, za rzeczywistość. Tymczasem jest to zaledwie okruch rzeczywistości, w dodatku mocno wypaczony. Jeśli jednak damy sobie do dyspozycji *całą* rzeczywistość, staniemy się nieskończenie bogaci – a zarazem nieskończenie zagubieni, jeżeli nie będziemy mieli w ręku kompasu, pozwalającego nam odnaleźć pożądaną drogę pośród owej nieskończoności. Zadaniem maszyny nie jest bowiem stwarzanie, lecz umożliwianie widzenia – tak jak to czynią noktowizory czy choćby zwykłe okulary – oraz słyszenia, czucia, wąchania i smakowania rze-

czy, których bez jej udziału nie postrzegamy. Żadne to czary, choć postronny umysł takimi mógłby je uznać. To dlatego, między innymi prowadzę moje badania w odosobnieniu.

- Maszyna do wszystkiego... – rzekłam w zamyśleniu. – Czy przez *wszystko* rozumie pan ogół rzeczy, które istnieją, czy też ogół rzeczy, które jesteśmy zdolni sobie wyobrazić?

- To jedno – odparł Alva.

Było parę rzeczy, które lubiłam sobie wyobrażać.

- Alva – powiedziałam. – Pan zastawia sidła na samego siebie.

- Zapomniałem wspomnieć – dodał z rozbrajającym uśmiechem – że wszystkie implanty sprzężone będą z centralną maszyną, a ta, rzecz jasna, będzie pod moimi rozkazami.

Kiedyśmy tak błogo gawędzili, coraz bliżsi siebie i niebaczni na upływający czas, uszu naszych dobiegło znienacka bicie dzwonu w pałacowej wieży i jakieś okrzyki ponad naszymi głowami.

- O rany! – zerwał się Alva. – Już północ!

Byłam wcale kontenta, iż nadejście Nowego Roku, po którym wiele sobie obiecywałam, zastaje mnie w wyłącznym towarzystwie boskiego Alvy, a i on sam nie wydawał się być zmartwiony tą okolicznością.

- Za rok dwutysięczny! – powiedział, podnosząc kieliszek i zbliżając swe usta do mojego policzka.

Zaledwie szkło brzęknęło o szkło, zegar uderzył po raz dwunasty. Wtedy zwariowałam.

Ocknęłam się w jakiejś podłej imprezowni. Cierpiałam i ludzie, którzy wokół mnie się snuli, podobne sprawiali wrażenie. Nie przypominałam sobie, abym ich znała, co zrodziło we mnie ponure przypuszczenie, iż siedzę w Jolancie. Jolanta to najnędzniejszy ścieg, jaki mam we łbie. Rzadko tam zaglądam. Podobno był to pierwotny ścieg, w którym pracowałam, nim wyposażono mnie w konwerter. Legendarne to czasy. Niekiedy wpadam tam z pobudek masochistycznych, kiedy życie zbytnio mnie rozpieszcza. To coś jak ścieżka zdrowia dla ducha: warto raz po raz się pomęczyć, żeby nie zgnuśnieć. Ale żeby tak prosto z objęć boskiego Alvy wpadać znienacka w Jolantę, która bez perspektyw budzi się z Sylwestrowej nocy – to już była lekka przesada. Żelastwo musiało naprawdę ogłupieć.

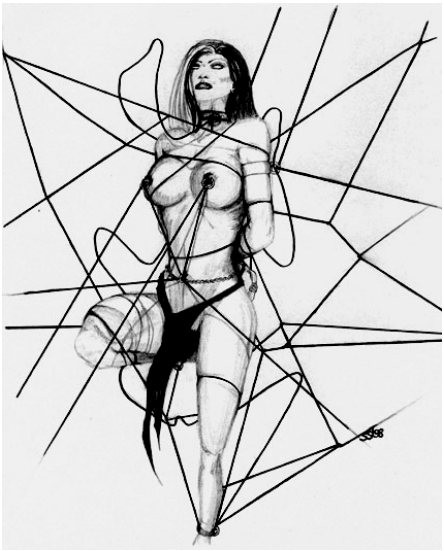

Zwlokłam się i wydobyłam na ulicę. Osiedle, po którym stąpałam, nie było mi znajome, ale ogólny nastrój miejsca nie pozostawiał wątpliwości: Poznań, ta przeklęta, szwabska wiocha. Zastanawiałam się, dokąd by tu pójść i po krótkim namyśle zdecydowałam się na Scully. W pałacu już pewnie skończyli i nie miałam tam nic do szukania – musiałam zresztą przyznać, że teraz, po opuszczeniu Emmy, mniej miałam podziwu dla wdzięków boskiego Alvy, a w jego cho-

robliwej wizji maszyny do wszystkiego podejrzewałam echa traumatycznych przeżyć z dzieciństwa – a zimniej i bardziej ponuro niż tutaj nie mogło być nawet w Vancouver.

Kliknęłam Scully na menedżerze ściegów i zamknęłam oczy, czekając zbawczego furkotu pracującej makówki. Ten wszelako nie nastąpił. Kliknęłam raz jeszcze – z równym skutkiem. Makówka najwyraźniej odmawiała współpracy. - Ty durny, głupszy od *Gameboya* ptasi móżdżku - sklęłam ją czule i z niemałą dozą lęku odemknęłam powieki. Myślałam, że spanikuję, ale nie: tylko smutek przejmujący mnie ogarnął, tak przejmujący, że aż dech zaparło mi w piersiach na dłuższą chwilę. Żelastwo zdechło, a ja tkwiłam po uszy w gównie zwanym Jolantą i miałam w perspektywie spędzenie w nim reszty życia. Podejrzewałam, że będzie to nadzwyczaj krótka reszta życia.

I tak idę przez tę posępną krainę, rozmyślając o rzeczach, których nie zdążyłam zrobić, kiedy jeszcze czas był po temu i sposobność, a tu nagle brzęczyk jakiś za pazuchą mi gra. Stanęłam jak wryta, boć przecież niepodobna, żeby taka mizerna Jolanta komórkę ze sobą nosiła. Pomacałam się jednak po katanie i poczułam jakiś podłużny kształt, po który czym prędzej sięgnełam. Że zaś ubiór miałam obfity, trochę trwało, nim zdołałam tę komórkę – bo w istocie była to komórka, najprawdziwsza na świecie, choć trochę prymitywna – zza pazuchy wyłuskać. Gdy wreszcie jej dobyłam, okazało się, że ten po drugiej stronie zdążył już się wyłączyć. Szlag mnie trafił i trzymał dotąd, póki nie spojrzałam na wyświetlacz i nie znalazłam tam numeru, który mi zostawił. A kiedy na ten numer spojrzałam, od razu słońce wzeszło nad moim horyzontem.

Pewnie już się domyślacie, kto dzwonił.

30.12.98 – 4.01.99

Konrad T. Lewandowski

Średniowieczne krwi upuszczanie

Na temat medycyny średniowiecznej w wielu książkach przeczytać można, że polegała ona na barbarzyńskim upuszczaniu krwi, aż do zgonu pacjenta, trutego dodatkowo jakimiś podejrzanymi specyfikami. Lekarz średniowieczny przedstawiany jest jako zarozumiały ignorant, potrafiący jedynie szkodzić choremu. Twierdzi się, że miał szczęście pacjent, do którego medyk nie mógł dotrzeć, gdyż wtedy nieszczęśnik mógł przynajmniej polegać na naturalnej odporności organizmu.

Taki wizerunek ukształtowała oświeceniowa propaganda. W efekcie do tej pory pokazuje się tylko błędy średniowiecznej medycyny, pomijając jej zasługi. Obraz ten zmienia wydany przez Instytut Historii Nauki, a opracowany przez Jerzego Burchardta, traktat medyczny z XIV wieku pt. „Higiena". Dzieło to budzi podziw naukową sumiennością i troską o pacjenta.

Autor traktatu – Tomasz z Wrocławia, tytularny biskup Sarepty, żył w latach 1297-1378. Był z pochodzenia Anglikiem, absolwentem uniwersytetu w Bolonii, praktykującym we Wrocławiu od 1336 r. Leczył m.in. cesarza Karola IV i księcia legnicko-brzeskiego Bolesława III, któremu uratował życie. Ci znakomici pacjenci w dowód wdzięczności obdarowali Tomasza dobrami ziemskimi (wieś Opatowice) i ulgami podatkowymi. Zanim powołano w Krakowie pierwszy polski uniwersytet, naukowa i edukacyjna działalność Tomasza, pracującego w klasztorze św. Wincentego na wrocławskim Olbinie, de facto za-

stępowała cały fakultet lekarski. Traktaty medyczne Tomasza z Wrocławia wykorzystywano przez cały XV wiek, potem o nich zapomniano. Prywatnie bardzo chwalił on sobie polskie piwo.

„Higiena" czyli „Regimen sanitatis" biskupa Tomasza dzieli się na trzy części poświęcone właściwej diecie, technikom puszczania krwi (flebotomii) oraz lekom. Zdaniem autora idealnym sposobem odżywiania byłoby jeść tylko dwa razy dziennie: mięso rano i chleb wieczorem. Do posiłku radził zasiadać dopiero wtedy, gdy pojawi się uczucie głodu.

Zalecenia dotyczące upuszczania krwi zaskakują odpowiedzialnością. Np. nie wolno przeprowadzać tego zabiegu u dzieci poniżej 14-tu lat, zgrzybiałych starców i osób ciężko pracujących. „Nie wolno flebotomować nikogo przy chorobie nieznanej". Ilość upuszczonej krwi zależy od kondycji pacjenta i tego, czy jest on do flebotomii przyzwyczajony. Osobom osłabionym należy upuszczać jak najmniej krwi. Biuskup Tomasz wylicza 11warunków, które należy rozważyć przed podjęciem decyzji o przeprowadzeniu zabiegu. Opisuje skrupulatnie żyły w różnych częściach ciała i choroby, które leczy otwarcie tych naczyń np. żył na skroniach w przypadku migreny. Na pewno był to zabieg skuteczny w przypadku nadciśnienia. Zabrania nacinania tętnic i nakazuje uważać, by „nie zadrasnąć nerwu". Rany poleca zamykać plastrem z chleba nasączonego sokiem z kopru.

W razie krwotoku ranę należy czym prędzej zatkać połówką nasiona bobu i przewiązać. Gdy krwotok zdarza się u pijanego, wtedy: wkłada się jego jądra do zimnego octu, wiąże golenie i piszczele oraz przykłada lek uszczelniający ze sproszkowanego kadzidła i aloesu.

Gdy krwotok zdarza się u pijanego, wtedy wkłada się jego jądra do zimnego octu, wiąże golenie i piszczele oraz przykłada lek uszczelniający

Wobec lekarstw w średniowieczu obowiązywała zasada, iż lek nie może być odrażający oraz nie wolno stosować substancji nieznanych. Typowe leki średniowieczne składały się z bardzo wielu składników (ok. 100), przeważnie ziół i minerałów, a ich środkiem konserwującym był miód. Dzisiaj, analizując ich skład, musimy stwierdzić, iż pacjent otrzymywał co najmniej solidną porcję witamin oraz makro- i mikroelementów. Biedakom Tomasz z Wrocławia zalecał odwary z kory wierzby, jesionu, paproci i inne proste preparaty ziołowe.

W całym traktacie uderza racjonalizm, umiar i dążenie do osiągnięcia „złotego środka". Autor za całe narzędzie poznania ma jedynie teorię Arystotelesa, sprowadzającą całą przyrodę do czterech żywiołów (woda-ogień, ziemia-powietrze) i czterech jakości (ciepło-zimno, wilgoć-suchość). Np. metal była to ziemia nasycona ogniem, gdyż by go otrzymać należało wziąć rudę (ziemię) i włożyć ją do ognia... Logiczne.

Stosując Arystotelesowskie pojęcia i żywioły, tak logicznie jak to tylko możliwe, Tomasz objaśnia mechanizmy chorób i wyciąga wnioski praktyczne. Postępuje przy tym często wbrew ówczesnym obyczajom, gdyż, zdaniem wielu ludzi średniowiecza, lekarz powinien od razu wiedzieć, co dolega choremu. Tomasz zaleca wypytywać chorego i jego otoczenie o okoliczności poprzedzające chorobę (np. co chory jadł), mimo iż „co głupsi te pyta-

nia biorą za nieuctwo". O medycznych szarlatanach, stosujących na wszystkie choroby jedną kurację, mówi krótko: tego niech akceptują pacjenci, którzy chcą być oszukani"

Według ówczesnego stanu wiedzy istniały cztery płyny ustrojowe: gorąca i wilgotna krew, zimny i wilgotny śluz, czyli flegma, gorąca i sucha żółć czerwona oraz zimna i sucha żółć czarna. Najważniejsze części ciała to, według medycyny średniowiecznej, mózg, serce, wątroba i jądra. Żyłami, tętnicami i nerwami krążyły po organiźmie tzw. tchnienia, np. obrazy z oczu przenosiło tchnienie wzrokowe. Choroby brały się z zaburzeń cyrkulacji płynów i tchnień, co korygowano stosując upuszczanie krwi, wraz z którą uchodziły też szkodliwe opary. Flobotomia była rodzajem wentylacji i likwidacji zatorów, wynikłych z wszelkiego nadmiaru. Przywrócenie równowagi żywiołów w ludzkim ciele osiągało się też dobierając odpowiedni skład leku.

Zjawisko bezsenności tłumaczono np. brakiem właściwej miary ciepła i suszy. Zdaniem Tomasza nie są skłonni do zasypiania „maniacy, frenetycy oraz różni inni, u których mózg jest nadmiernie suchy i przypalone opary uniemożliwiają sen". Tomasz stanowczo potępia astrologię i astrojtria, czyli leczenie wg wskazań horoskopów. Poucza, by zamiast znaków zodiaku, przed leczeniem sprawdzić, czy pacjentowi nie jest za zimno albo za gorąco.

Zwraca uwagę rzeczowy i krytyczny stosunek autora do ówczesnych autorytetów, np. Galena i Awicenny. Tomasz stwierdza, że nie ważne od kogo pochodzi recepta, lecz czy dany lek jest skuteczny. Zalecenia wielkich poprzedników weryfikuje na podstawie własnych doświadczeń.

Wypada z pokorą przyznać, że to współczesna medycyna, stosując pewne techniki tylko dlatego, że zostały one wynalezione i wdrożone (tzw. zjawisko technopolu), ma znacznie większe powody do wstydu niż średniowieczna. Wyższość tej ostatniej objawia się w jeszcze jednej dziedzinie – medycyna średniowieczna wiedziała kiedy skończyć. Nie próbowano na siłę utrzymywać pacjenta przy życiu, tak jak się to robi we współczesnych szpitalach. Lekarzom łatwiej przychodziło uznać swą bezsilność i pozwalali nieuleczalnie choremu umrzeć z godnością. Tomasz pisał o tym następująco: „W przypadku chorób trudnych i wątpliwości: podjąć się leczenia albo odmówić – na równi przynosi lekarzowi ujmę. Bezpieczniejszy jest lekarz nie podejmujący się takiej terapii, ale milszy choremu ten, kto – mimo wszystko – leczyć próbuje. Sławny lekarz leczy tylko z miłości swych chorych."

Rozmyœlania nad tlenem cz.I

(z Markiem Oramusem rozmawia Paweł Ostrowski)

Marku, w polskiej fantastyce działasz jakby trójpolowo: jako pisarz, jako redaktor w „Nowej Fantastyce" oraz jako dziennikarz zajmujący się popularyzacją nauki. Czy przeprowadziłbyś jakąś gradację, która z tych ról jest ci najbliższa? Słyszałem jak mówiłeś, że coraz bliżej ci do roli człowieka, który zajmuje się nauką i śledzi jej postępy.

To chyba miałem rację, ponieważ zdaje mi się, że odchodzę od fantastyki typu „Archiwum X", chociaż wszyscy żeśmy zaczynali od fascynowania się, czy istnieją latające talerze, siły parapsychiczne, prekognicja, psychokineza i tego typu rzeczy. Natomiast gdy minie to zauroczenie najprostszą fantastyką, to człowiek widzi, że w rzeczach zwyczajnych są cuda. Jest rzeczą fantastyczną, że sok płynie w liściu albo w człowieku i z tego płynięcia soków, z jakichś reakcji chemicznych wynika, że masz świadomość, masz pamięć, że możesz rozmawiać o abstrakcjach albo rozwiązać równanie różniczkowe i tak dalej. Od samego początku miałem w życiu podział na część dziennikarską. W tej chwili to się jeszcze rozszczepiło na te trzy pola, jak to nazwałeś i tak to na razie zostanie. Niektórzy mówią, że pisarz już ze mnie żaden, ale ja jeszcze jedną, drugą książkę napiszę. To nie jest proste, bo pisanie książki trwa rok, dwa lata, dostajesz za to śmieszne pieniądze – jest to totalnie nieopłacalne w tej chwili. Nazywam to tanim arystokratyzmem. Aby kogoś było stać na tani arystokratyzm w postaci pisania książek, to muszą być finansowo równoważne pola dochodu. I wtedy można snuć wieczorami historie, których i tak nikt nie przeczyta.

Drugie twoje pole to szefostwo działu publicystyki w „NF". Od jakiegoś roku mówi się w fandomie o niewydolności krytyki wobec literatury SF i fantasy. Brak jest tych krytyków, gdyż nie należy do zdrowych sytuacja, że uprawiający beletrystykę autor jednocześnie recenzuje swoich kolegów po piórze; para Materska – Popiołek wiosny nie czyni. Odbiło się echem po fanzinach, że obok nagrody im. Janusza Zajdla, przyznawanej przez publiczność, potrzebna jest także nagroda krytyki.

Wolałbym, żeby jakieś nazwiska tutaj padły, jestem bowiem zaciekawiony, kto tak twierdzi. Jeśliby jednak ci, co tak mówią, chwycili za pióra, chcieli zaprzeczyć tej swojej tezie, to byłoby najfajniej. Krytyków nie ma z tego samego powodu, dla którego kończy się pisanie fantastyki, mianowicie jest to działalność całkowicie niedochodowa. Nikomu się tego nie chce robić, bo sławy z tego nie ma, uznania z tego nie ma, pieniędzy z tego nie ma, jedynie wchodzi się w konflikty z twórcami, którzy prawie zawsze przeceniają swoje dzieło. Krytyka literacka to jest coś mocno deficytowego, to jest jeszcze tańszy arystokratyzm niż pisanie powieści i opowiadań. Krytyk idealny sam beletrystyki nie pisze, nie jest uwikłany, ubabrany w te stosunki fandomowo-koleżeńskie, tylko krytykuje zajadle i bezstronnie. Jest tylko on i dzieło przed nim na stole. Tak czystej sytuacji się w praktyce nie spotyka. Ja sam miałem poczucie niestosowności, że piszę kawałki literackie, a jednocześnie ze swadą wypowiadam się o twórczości innych. W głównym nurcie sytuacja, że się i pisze, i recenzuje innych, jest na porządku

dziennym, to pomieszanie powinności jest rzeczą normalną. I w tej chwili mam wrażenie, że trzeba to robić, jakimikolwiek sposobami, byle uczciwie. Krytyków jest mało jeszcze z innego powodu. Mianowicie w czasach, kiedy nikt nic nie czyta, a jeśli czyta – nie rozumie, a jeśli czyta i rozumie – zaraz zapomina...

Prawo Lema...

...to są trzy prawa Lema, jak świetnie zauważyłeś, sprzeciwiają się one generalnie istnieniu dobrej krytyki, czy krytyki w ogóle. Bo jak ktoś nie czyta, to nie zna dzieła, jakże więc może je recenzować? Mimo to zdarzają się krytycy, którzy nie znają tego, o czym piszą. Ja jestem w „NF" w tej luksusowej sytuacji, że mam tam etat, płacą mi ZUS i mogę czytać książki. Mam swoich ludzi, o których wyrobiłem sobie opinię, wiem, jakie są ich możliwości i co który trawi. Biorę więc książkę i już wiem: ta jest dla Materskiej, a ta dla Dukaja, a tą to by przeczytał Sobota. Mam więc w „NF" swobodę wypowiedzi, swoją własną autorską i poprzez ludzi. Płacą mi za to, niewiele bo niewiele, ale z głodu nie ginę, w zamian zaś mam luksus robienia tego, co zawsze lubiłem, a zawsze lubiłem czytać. Odkąd pamiętam, zawsze miałem w ręce książkę i jakoś ją czytałem, nawet jak jeszcze nie umiałem czytać. To się mści, bo muszę przeczytać mniej więcej cztery książki tygodniowo; to jest straszna ilość, jeśli chcesz to robić uważnie. A jeżeli wśród nich trafi ci się jedna gruba, jak na przykład „Niebieski Mars" albo wszystkie inne „Marsy", albo jeśli trafi ci się książka naukowa, którą trzeba przeczytać uważnie, żeby zrozumieć, o co tam chodzi, to jesteś po prostu uziemiony. Jeszcze musisz o tym napisać w sposób dowcipny, kompetentny, kulturalny i bez błędów ortograficznych. To wszystko , co mówię, ma unaocznić, że jest to fach ciężki, niewdzięczny i w ogóle do dupy. Jeszcze jak kogoś zniszczysz, to on ci powie, jakim prawem tyś go zniszczył, skoro on miał takie szczytne intencje. W efekcie więc żyjesz ze wszystkimi w niezgodzie. Niektórzy lżą cię za plecami albo i w oczy, że pomniejszasz swoich konkurentów, ponieważ sam piszesz rzeczy słabe i na tle słabych rywali chcesz wydawać się większy. Jest to mocno niewdzięczne zajęcie i trzeba sporego samozaparcia, żeby się go w ogóle imać.

Uważam, że najlepsi krytycy wyrośli z fandomu. Powinno się zaczynać od takich fanzinów jak wasz, potem zaś lepsze teksty posyłać do

A czy nie przyszło wam nigdy w dziale krytyki przez myśl, żeby spróbować przysposobić sobie jakiś krytyków, którzy się do tej pory fantastyką nie zajmowali?

Przydało by się trochę świeżej krwi. Ale to nie jest tak, że ja się budzę rano i kombinuję: - No to dzisiaj uchylimy, kurna, tych drzwi i wpuścimy trochę tych, co się tam tłoczą. Owoż te drzwi być może metaforycznie istnieją, ale kłopot w tym, że za tymi drzwiami nie ma żadnej ciżby. A nie ma jej z dwóch powodów: raz, że młodzi ludzie nic nie czytają, a dwa, że nawet jak czytają i piszą na ten temat, to są to rzeczy dość kiepskie. Zanim dorosną, żeby ich drukować, okazuje się, że nie są w stanie na tej drodze wytrwać, bo świat oferuje im wiele innych atrakcji, więc idą w inne sfery zainteresowań. Uważam, że najlepsi krytycy wyrośli z fandomu, z takich czytaczy po prostu, którzy się zastanawiali nad tym, co właśnie przeczytali i potem pisali na ten temat. To się powinno

zaczynać od takich fanzinów jak wasz, potem zaś lepsze teksty posyłać do „NF". Wpuściłem teraz Grzegorza Szczepaniaka, bo uważam, że on odbył już termin po fanzinach.

W „Fantastyce i futurologii" Lem napisał o amerykańskich fandomowych konkursach literackich jako o konkursach piękności odbywanych wśród kulawych i garbatych. To oczywiście skrajnie ostra opinia. Jak to jest z naszą nagrodą imienia Janusza Zajdla?

Tekst Szczepaniaka, który ukazał się w styczniu w „NF", sugeruje, że dość źle. Środowisko nie ma swojej nagrody, która by się cieszyła ogólnym prestiżem, zwłaszcza na zewnątrz. To powinna być taka nagroda, przed którą klękaliby także głównonurtowcy. Dziś jeżeli się napisze w prasie, że ktoś tam dostał Zajdla, to nie znaczy literalnie nic. To jest nagroda przyznawana na takiej zasadzie, jakby hobbyści, hodowcy kaktusów czy złotych rybek się zmówili i dali nagrodę temu, kto wyhoduje najdłuższą rybkę albo najgrubszą. „Zajdel" w tej chwili nie ma żadnego znaczenia na zewnątrz, mówię to z pełną świadomością i premedytacją, jego ranga maleje także w środowisku. Ktoś, kto nie trzyma w ręku całej wiązki Zajdli, to tak jakby w ogóle nic nie miał. Sposób przyznawania nagrody im. Janusza Zajdla budzi różne wątpliwości; jest mało przejrzysty. Powinno się pokazywać, ilu ludzi głosowało na nominacje, ilu głosowało na te dzieła, które nie zostały wyróżnione nagrodą. W ten sposób uwidoczniłyby się różnice. Dobrze robi to Wojtek Sedeńko przy SFinksach: mamy uczciwie napisane, że ten dostał tyle, ten tyle, głosowało tylu i to jest taki procent. To jest uczciwe postawienie sprawy. Natomiast jeśli się nie wie, na jakiej zasadzie wyłaniane są nominacje, ile głosów waży – bo jeżeli jest to np. stosunek 140 do 120, to dziesięciu, dwudziestu zdyscyplinowanych ludzi z dowolnego klubu w Polsce jest w stanie przeważyć szalę.

Następne pytania dotyczą zmian w fandomie. Na jednym z poprzednich Nordconów opowiadaliście z Maciejem Parowskim o początkach wspólnoty fanowskiej, bodajże o roku 1976 – w tym roku się urodziłem – i ciekaw jestem, jak z twojej perspektywy środowisko fanów się zmieniało.

Rzeczywiście należę do najstarszych w fandomie, z tej gwardii widuję tylko Lecha Olczaka, który też pamięta te czasy. To był koniec lat 70., kiedy fandom ruszył; skonsolidował się po Euroconie w Poznaniu w roku 1976, bo przedtem nie było żadnych zawiązków organizacyjnych. Ja na tym Euroconie nie byłem, czego żałuję po dziś dzień. Wybierałem się wprawdzie, ale nie miałem pieniędzy czy coś wypadło. I tam ludzie zobaczyli, że jest ich dużo, że oni podobnie myślą i że się zajmują ciekawą dziedziną, więc postanowili nadać temu ramy organizacyjne. Ja doskoczyłem do tego jakiś rok później, jak już byłem w Warszawie. Wtedy były pierwsze zebrania w Domu Kultury na Starym Mieście, potem był ten słynny klub na Kickiego, a w końcu powstał już Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i SF. Wtedy byli tam wyłącznie młodzi ludzie, tacy jak ty albo trochę starsi, 22, 25 lat. Różny przekrój społeczny, większość stanowili studenci, ale także robotnicy, nawet licealiści. W sumie było to dosyć młode towarzystwo, w tej chwili widzę więcej ludzi starszych, którzy zostali z tamtych czasów albo po drodze dobili. Mało było kobiet, teraz jest jakby więcej. No i różnica podstawowa taka, że wtedy wszystko było nakierowane na literaturę, literatura była podstawowym medium. Fil-

mów wtedy trafiało się mało, a jak były, to kiepskie; potem zaczęło wchodzić wideo, a w tej chwili i kasety, i gry komputerowe, i gry wszystkie inne. Literatura jest jednym z elementów, niekoniecznie najważniejszym. Została zdegradowana i zepchnięta w kąt, teraz prym wiodą wszelkiego rodzaju gry. Fandom jest mniej rozczytany, książek jest więcej, ale czytelników mniej i ująłbym to tak, że środek ciężkości przesunął się na formy czynnego uprawiania fantastyki. Dawniej było nie do pomyślenia, wokoło domu, gdzie odbywa się konwent, gonią się jakieś drużyny. Kiedyś w Zielonej Górze stoję sobie i piję spokojnie piwo, a tu jakaś taka hałastra, pokrzykując i nie zważając na mnie i moje słuszne zajęcie, przemieściła się obok z dużą szybkością, a za chwilę widzę ich gdzieś w lesie. Muszę się przyznać, że takiej fantastyki nie rozumiem i nie biorę w niej udziału, ale z szacunkiem myślę, że wachlarz możliwości bardzo się rozszerzył. Teraz jest siedem, piętnaście czy więcej dziedzin, gdzie możesz udowodnić, że jesteś fantastą. Możesz na przykład malować figurki; dawniej jak ktoś by przyszedł do klubu i oświadczył „pomalowałem wczoraj wybitnie figurkę", to by go wynieśli na czubkach butów. A teraz? „No jak ci poszło, jakich farb użyłeś?" - toczą się jakieś dyskusje techniczne. I muszę się zgodzić niechętnie, że jest to jakaś fantastyka.

Druga część wywiadu w następnym numerze. A tam m.in.:

- **o czym myśli Oramus między 7.05, a 7.18**
- **jak radził sobie za komuny**
- **jakie ma plany wydawnicze**

PLUTON JEST NAJBARDZIEJ ODDALONĄ OD SŁOŃCA PLANETĄ UKŁADU SŁONECZNEGO, CHOĆ WEDŁUG NAJNOWSZYCH TEORII NIE NALEŻY JUŻ DO NASZEGO UKŁADU PLANETARNEGO. PLANETĘ ODKRYTO W ROKU 1930 W ARIZONIE NA PODSTAWIE OBLICZEŃ DOKONANYCH PRZEZ ASTRONOMA AMERYKAŃSKIEGO PERCIVALA LOVELLA.
PLUTON TO TAKŻE PROMIENIOTWÓRCZY PIERWIASTEK CHEMICZNY (OTRZYMYWANY SZTUCZNIE) O LICZBIE ATOMOWEJ 94.
PLUTON BYŁ GRECKIM BOGIEM PODZIEMNYCH BOGACTW, KRUSZCÓW I ZIARNA (GR. PLOUTOS - BOGACTWO).
„PLUTON" - SŁYNNY FILM OLIVERA STONE'A.
PLUTONOWY - STOPIEŃ OFICERSKI W WP.

POD CZERWONĄ PLANETĄ POEZJA SOCREALISTYCZNA

Adam Ważyk

„Widokówka z miasta socjalistycznego"

O świcie niecierpliwa niesyta swojego piękna
Syczała lokomotywa nad dziewczyną, która uklękła
Ktoś kto przelotnie zobaczył pogański profil dziewczyny
Opacznie sobie tłumaczył, że modli się do maszyny
A jej tylko drżała warga, gdy dzienną rację oliwy
Maściła czuła kolejarka tłoki lokomotywy

Zgroza !

Nieprawdopodobne, jaką nienawiść i pogardę dla ludzkich uczuć reprezentują wszystkie reżimy totalitarne: mówiąc o uczuciach, mam tu na myśli pierwsze i najpiękniejsze z nich - miłość. Upodlenie i kontrola związku kobiety i mężczyzny przewija się i w faszystowskich Niemczech, i w sowieckiej Rosji, ale także i na kartach „Roku 1984" Orwella czy „Nowego, wspaniałego świata" Huxleya. Albo degraduje się małżeństwo do roli reprodukcyjnej komórki dla potrzeb państwa, albo wręcz przeciwnie, reżim popycha obywateli do zaspokajania czysto seksualnych potrzeb w przelotnych związkach. W nieco inny jeszcze sposób wpisuje się w te tendencje „Opowieść podręcznej" kanadyjskiej autorki Margaret Atwood, powieść, którą chcę tutaj Państwu przedstawić.

Autorka prezentuje czytelnikom przerażającą wizję monoteokratycznego państwa przyszłości: Republiki Gileadzkiej, rozpościerającej się na dawnych terenach Stanów Zjednoczonych. Oficjalną religię stanowi tam karykaturalna odmiana purytanizmu, stawiająca sobie za cel realizację wskazań Księgi Rodzaju: idźcie i rozmnażajcie się. Rozpowszechniona w społeczeństwie bezpłodność, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, doprowadza do wykształcenia swoistej postaci poligamii. Najwyżej postawieni w hierarchii mężczyźni, Kontrolerzy, mają prawo do utrzymywania, obok Żony, także Podręcznej. Ich zadaniem jest urodzenie dziecka w zastępstwie Żony, po czym odbiera jej się dziecko i oddaje ją następnej prominenckiej parze. Winą za niemożność urodzenia dziecka obciąża się zawsze Podręczną: bezdzietność po określonym czasie spędzonym u różnych Kontrolerów karana jest przez odpowiednie organy, posługujące się wiele mówiącym symbolem Oka, przeniesieniem do kategorii niekobiet i zesłaniem na eksterminację poprzez ciężkie roboty. Główna bohaterka, której prawdziwego imienia nawet nie znamy, zostaje zaliczona do kategorii Podręcznych, gdyż w momencie religijnego przewrotu pozostaje w „nielegalnym" związku, za jaki uznane zostaje małżeństwo z rozwodnikiem.

Tak przedstawione tło może Państwu sugerować, że „Opowieść podręcznej" jest książką prowokacyjnie antyklerykalną. Będzie to jednak wniosek mylny. Wbrew pozorom nie jest to także powieść feministyczna. Kultura przedstawiona w powieści nie daje żadnych praw kobietom, nie tylko Podręcznym, ale i klasie Gospożon oraz Martom, czyli służącym. Ściśle określone są ubiory, w jakie wolno im się ubierać, nie pozwala im się czytać ani pisać - kłóci się to przecież z rolą kobiety. Jednakże nie jest też tak, że to męskie szowinistyczne świnie mają na swoje usługi całe zastępy nałożnic; młodsi i biedniejsi mężczyźni nie mają przydzielonej ani jednej kobiety. Cała kultura dąży do wyeliminowania erotycznej zmysłowości i to pod hasłem wyzwolenia kobiet od ciągania na seksualne posługi, od gwałtów odbywa się religijny zamach stanu. Ściganiem przejawów erotyzmu, t y c h rzeczy oraz indoktrynacją zajmują się fanatyczne Ciotki. Kontrolerzy odbywają Ceremonię, czyli zrytualizowane stosunki ze swymi Podręcznymi, w obecności swoich Żon; naturalnie o żadnym uczuciu ani nawet seksualnej przyjemności nie może być mowy. Jednakże ludzie są tylko ludźmi, ale

i aż ludźmi. Działają zakamuflowane domy publiczne, przechowuje się w ukryciu frywolne fatałaszki i magazyny mody. Paradoksalnie daje to nadzieję na przyszłe rozsadzenie systemu od środka, działa także ruch oporu i bronią się jeszcze niedobitki wiernych innych wyznań.

W takiej rzeczywistości przychodzi żyć bezimiennej bohaterce, kobiecie inteligentnej i wrażliwej. „Opowieść podręcznej" pełna jest poczucia bólu i straty: odebrano jej córeczkę i oddano „bardziej godnym", nie ma też żadnych wiadomości o losie męża. Brak jej mężczyzny, którego mogłaby objąć nocą i ramienia przyjaciółki, na którym mogłaby się wypłakać. W Gileadzie nie można mieć normalnego życia emocjonalnego. Czy w takim świecie można żyć szczęściem innym niż takie, które składa się z okruchów, drobnych przebłysków normalności? „Opowieść podręcznej" to książka ze wszech miar godna polecenia; nie gwarantuję jednak, że poczują się po niej Państwo lepiej.

Paweł Ostrowski

Margaret Atwood Opowieść Podręcznej , *wydanie drugie, tłumaczyła Zofia Uhrynowska-Hanasz, wyd. Zysk i S-ka 1998, seria Kameleon*

* * *

Od bardzo dawna wyobraźnia ludzka malowała sobie obrazy Piekła, ale dopiero dzięki świeżo uzyskanym możliwościom potrafi swoje dawne wyobrażenia urzeczywistnić.

Bertrand Russell

POLEMIKA

Piotr W. Cholewa

Pomyłki korespondenta wojennego

W pierwszym numerze „Innych Planet" znalazł się tekst Konrada T. Lewandowskiego pt. *Fantastyczne krucjaty*, w którym pisze autor o rzeczywistych i wyimaginowanych wojnach toczonych na polu fantastyki. Opowieść traktuje o różnych sprawach i różnych osobach, które – jeśli zechcą – mogą same protestować. Ja chciałbym tylko dodać parę słów komentarza do akapitu dotyczącego bezpośrednio mojego klubu. Pozwolę sobie – dla jasności - przytoczyć te kilka zdań:

Najnowszym konfliktem jest Totalna Wojna Śląskiego Klubu Fantastyki z ResztąFandomu. ŚKF, monarchia rządzona żelazną reką Elżbiety III, prowadzi działania przeciwko gdańskiemu GKF-owi o supremacje polityczną i przeciwko „NF" o supremację ideową. Wynik jest łatwy do przewidzenia, gdyż fandomowe wojny wygrywa się nie talentem organizacyjnym, lecz dobrymi pisarzami, a tych w ŚKF-ie brak.

Otóż rzadko się zdarza, by w akapicie nie było właściwie ani jednego prawdziwego stwierdzenia (poza ostatnimi słowami tekstu: „a tych w ŚKF-ie brak"). Sama statystyka powinna wymusić na Konradzie przynajmniej jeden rzetelnie zrelacjonowany fakt. Niestety...

Zacznijmy od początku. Przede wszystkim wspomniany konflikt (trudno ukrywać, że pewne różnice zdań istnieją) nie jest w żadnym razie najnowszy. Jego zalążki siegają jeszcze chyba prezesury Piotra Kasprowskiego i Macieja Rokickie-

go. Nowym – nowszym od wszystkich wymienionych w tekście – jest choćby konflikt między PTMF i Markiem Oramusem (dotyczący okoliczności jego nieobecności na POLCON-ie). ŚKF nie prowadzi wojny totalnej z nikim (Konrad wyraźnie niezbyt dobrze wyobraża sobie wojnę totalną). Z cytowanego tekstu wynika, że fandom składa się z ŚKF, GKF i *Nowej Fantastyki*. ŚKF nie jest monarchią i nasza prezes, Elżbieta, nie rządzi żelazną ręką (przynajmniej w takim sensie, w jakim zwykle używa się tego określenia – zarządzanie ŚKF-em przebiega bardziej demokratycznie, niż się Konradowi wydaje). Elżbieta nie jest III – istotnie, historia wspomina o Elżbiecie I i Elżbiecie II, ale to całkiem inna dynastia. GKF nie jest klubem „gdańskim" (choć pozornie wynika to z nazwy) – jest federacją klubów z całej Polski (w tym ze Śląska). W żaden sposób nie może ŚKF walczyć z GKF o supremację polityczną, bo jaka tu może być polityka? Nasze z GKF-em dyskusje nie przekładają się na głosy w wyborach, poparcie czy pieniądze. Podobnie, nie walczymy z *Nową Fantastyką* o supremację ideową; w tym konflikcie nie chodzi ani o supremację, ani o idee. To naczelny *NF* ma (do mnie osobiście) pretensje o rzecz tak błahą, że jej tu nie wymienię, by go nie ośmieszać. I wreszcie wynik konfliktu – gdyby istniał poważny konflikt albo wręcz wojna, a nie drobne i naturalne różnice zdań w konkretnych sprawach – byłby trudny do przewidzenia. Bowiem fandomowych wojen nie wygrywa się dobrymi pisarzami. Czy Konrad wyobraża sobie, że Andrzej Zimniak (wymieniam go tutaj jako przykład dobrego pisarza, który jest członkiem honorowym czy też specjalnym GKF) napisze powieść, w której przedstawi niecne knowania ŚKF w formie Orwellowskiej czy Huxleyowskiej? W której tłumy proli będą wszędzie widzieć napisy *Pani Prezes patrzy* (nawet lepiej niż w oryginale ze względu na pełną aliterację). Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Natomiast owszem, wbrew twierdzeniu Konrada, fandomowe wojny wygrywa się talentami organizacyjnymi, a tych w ŚKF-ie nie brak.

od redaktora

Miło słyszeć, że ŚKF nie jest zorganizowany na wzór partii typu leninowskiego. Widać, nie taki diabeł straszny...

Wbrew temu co pisze P.W.Ch. wojna ideologiczna między ŚKF a „NF" jest faktem. Choćby ze względu na feministyczny („postępowy"!) światopogląd pani Prezes, zupełnie niekompatybilny z prawicowym światopoglądem Macieja Parowskiego. W takowej sytuacji musi co jakiś czas dochodzić do zgrzytów. Zresztą sam prowadzę prywatną wojenkę z ŚKF-em. Spełnia ona wszystkie kryteria „wojny sprawiedliwej" vulgo *obronnej, bo otworzyłem ogień po tym, jak zostałem (kilkakrotnie) zaatakowany na łamach organu prasowego ŚKF. Zapewne upraszczam utożsamiając poglądy ŚKF-owych notabli z poglądami całego ŚKF-u, ale mam wrażenie, że to właśnie wierchuszka robi całemu klubowi lewicową gębę.*

„Fantastyczne krucjaty" to pierwszy i ostatni artykuł w „IP" dotyczący spraw fandomu. Więcej takich tekstów nie planuję. Nie chcę, by fanzin zamienił się w arenę wymiany dąsów, kwasów i uszczypliwości. Owszem, będziemy prowokować, ale artystycznie i intelektualnie. Bez mieszania się w środowiskowe wojenki.

Wojciech Szyda

Palenie mostów

(z Jackiem Sobotą rozmawia Wojtek Szyda)

Maciej Parowski ukuł termin „Sobota fiction" na określenie specyficznej odmiany fantastyki, jaką uprawia Pan w swoich opowiadaniach. Klimat absurdu, wymieszanie jawy i snu, aluzje kulturowe, filozoficzne paradoksy – co jeszcze? Jak zdefiniować określenie „Sobota fiction"?

Należałoby o to pytać samego Parowskiego. Mam taką hipotezę: „Sobota fiction" brzmi dobrze, bo krótko i dobitnie – prawie jak science fiction. „Sapkowski fiction" na przykład to już nie to. Ale „Szyda fiction" brzmi nieźle.

Być może w mojej literaturze wychodzi moje samotnictwo, jakiś taki „arystokratyzm ducha", niechęć do stadności.. To się również przejawia w moim zniechęceniu do środowiska fanów i pisarzy SF, co powoduje tegoż środowiska pewne ostracyzmy wobec mnie. Ktoś mi kiedyś powiedział, że już nie tylko palę mosty za sobą, lecz nawet przed sobą. To bardzo trafna metafora mojej filozofii życiowej. Podobnie postępował Camus, jak niedawno przeczytałem w biografii Lottmana. To daje (być może złudne) poczucie niezależności.

Przechodząc już do samych opowiadań. Sam określiłbym moją pisarską „manierę" jako „krzyk rozpaczy dochodzący zza grubej ściany cynizmu". Albo „ból w kagańcu ironii". Jakoś tak. Są w tym emocje, lecz obserwowane z dystansu. Bez gadulstwa, bez pompatyczności, z ironią, ale i jakimś tam zrozumieniem. Parowski określał moje teksty jako postmodernistyczne, ale to nie jest prawda (zresztą wycofał się z tego w notce w antologii „Miłosne dotknięcie nowego wieku").

Można wyróżnić dwa światy, w której umieszcza Pan fabułę swoich opowiadań. Pierwszy – wielkie, ponure miasto przyszłości, gdzie bohater to samotny gliniarz prowadzący zagadkowe śledztwo, przechodzący egzystencjalny kryzys tożsamości. Drugi – to zamek Kaltern i okolice. Jak odpowie Pan na zarzut „pisania ciągle tego samego opowiadania"?

Odpowiem, że nie jest to żaden zarzut. Jak powszechnie wiadomo, pisarze dzielą się na takich, co przez całe życie tłuką ten sam kawałek i na takich, którzy potrafią wytwarzać przeróżne historie. To dlatego Dick podejrzewał, że Lem nie jest pisarzem pojedyńczym, lecz „pisarskim kombinatem" (sam miewam czasem podobne podejrzenia). Dick – pisarz obsesyjny; Lem – pisarz kompletny. Obaj jednako fascynujący, lecz skrajnie się różniący. No więc ja z pewnością mieszczę się w kategorii obsesjonatów obracających się nieustannie wokół ściśle określonych tematów czy sytuacji fabularnych.

W notce w antologii „Miłosne dotknięcie nowego wieku" Parowski ujawnił, że planuje Pan rozwinąć opowiadanie „Głos Boga" w pełnowymiarową powieść – alternatywną historię Zbawienia. Uchyli Pan rąbka tajemnicy?

Strawestuję powiedzonko bodaj Flauberta: jeśli za dużo mówi się o nienarodzonych dzieciach, to może w ogóle nie dojść do wzwodu. Rzeczywiście planuję książkę, której akcja rozgrywałaby się w świecie „Hrabiego Mortena". Nie wiem jeszcze, czy będzie to powieść, czy zbiór opowiadań. Wysłałem projekty do Parowskiego; bardzo mu się spodobały. Niestety, pewne życiowe okoliczności (armia, ścigająca mnie od lat, wreszcie mnie doścignęła) powstrzymały projekt w fazie

koncepcyjnej. Mam nadzieję, że niebawem będę mógł ruszyć z pracą.

Udziela się Pan także jako krytyk (głównie recenzent) w „Nowej Fantastyce". Co jest główną powinnością krytyki literackiej?

Kompetencja, uczciwość, niezależność. Umiejętność rugowania miernoty literackiej oraz promowania rzeczy dobrych. Orientowanie się w modach literackich, lecz nie uleganie im. Potencja do przeciwstawienia się gustom masowym (Przyznam, że gdybym przejmował się niektórymi werdyktami publiczności czytelniczej przyznającej nagrody im. J. Zajdla itp., dawno rzuciłbym profesję recenzenta, a może i pisarza)

Czy nadal jest Pan przeciwnikiem „wizji świata jako areny zmagań między Dobrem a Złem, Bogiem, a Szatanem?" (cytat z pańskiego komentarza do opowiadania „Rzeka" w antologii „Czarna msza")? Czyżby podzielał Pan pogląd Dicka, że ludzie są moralnie czyści, a ich błąd nie polega na grechu, lecz jest błędem intelektualnym?

Ten komentarz bardzo jest, niestety, młodzieńczy. Moje literackie poszukiwania zawiodły mnie w zupełnie inne rejony. Moim zdaniem to człowiek jest areną zmagań Dobra ze Złem. Może to naiwne, ale wydaje mi się, że na kształt świata mają wpływ nasze jednostkowe wybory. Wierzę w Boga samoograniczającego swą wszechmoc i wszechwiedzę (pojęcie wszechwiedzy wyklucza, moim zdaniem, sens istnienia wolnej woli i popadamy tu w jakieś koncepcje łaski św. Augustyna), wycofującego się ze świata i pozostawiającego ów świat człowiekowi. Jednak immanencja tkwiącego w nas zła (ale zarazem i dobra) jest niewątpliwa. Nie zgadzam się z Dickiem.

Sprostowanie nr 1

W poprzednim numerze „Innych Planet" z powodu błędu drukarni wiersz Anny Basary był nieczytelny. Serdecznie przepraszamy i publikujemy poniżej pełną, oryginalną i czytelną wesję.

Anna Basara
„Kometa"

wiersz dedykowany komecie Hale-Bopp, 1.IV.1997

Skąd przybyłaś, gdzie dążysz wytyczonym szlakiem
Posłuszna wyższym siłom - ale jakiem?
Co widziałaś po drodze przez te lat tysiące
Zwiedzając gwiazdozbiory, omijając Słońce?
Jakie oczy patrzyły trwożne i zdumione
Na twój warkocz ginący hen za nieboskłonem?
Przepływasz, a za tobą mgława smuga blasku.
Dziś mówią o tobie, że ty to trochę piasku,
I trochę pyłu i skał powiązanych lodem -
Taki śmietnik kosmiczny, a całą urodę
Daje ci Słońce! Jakże uwierzyć w to trudno.
Ciebie świetlistą, piękną nazywają brudną.
Ale się nie obrażaj, płyń. Do zobaczenia!
A za lat tysiąc ponownie cię ujrzy Ziemia
I w wieczór jakiś istota krucha, maleńka
Znów zachwyci się tobą i powie żeś piękna.

Sprostowanie nr 2

We wstępniaku do numeru pierwszego „IP" zapowiadaliśmy stronę poświęcona filozofii - „Metafizicon".

Zmuszeni jesteśmy z przykrością zawiadomić Szanownych Czytelników, który ostrzyli sobie zęby na ten wspaniały dział, że zostanie on zamieszczony w numerze trzecim (albo nigdy). Cholernie serdecznie przepraszamy!

Autorem grafik z okładki i stron 15, 22, 25 i 35 jest Sebastian S. z Olsztyna, któremu serdecznie dziękujemy za udostepnienie prac.

„Czas Apokalipsy”

wezbrały kolorowe rzeki aut
płynące we mgle spalin i dymów
wędrują ku niebu góry smieci
i coraz gęstsze lasy kominów
coraz głębsze morze krwi i ścieków
coraz więcej zagłodzonych dzieci
uciekaj bezbronny człowieku
tu dżunglą ulic walą już hordy Kainów
sklonowanych Herodów, Neronów, Stalinów
uciekaj nim cię nie zdusi czasza freonu
nie skradnie zycia biała pani heroina
nim słońce nie zliże przez ozonowe dziury
i hifem nie obdarzy chłopak lub dziewczyna
nie zatruje zdradzieckie tchnienie Czarnobyla
broń się! Może tylko rok został, miesiąc, chwila..

Anna Basara

„Czas”

Czas - w młynie życia tryby przyczyna i skutków?
Czas - kalejdoskop zdarzeń wstrzasany bez planu?
Czas - okruchy bytu w klamrach narodzin i zgonu?
Czas - nędzny erzac wieczności?
Czas - to co śmierć z ironicznym uśmiechem
przekreśla jak źle rozwiązane zadanie z wielką
niewiadomą

„Inne planety” to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era”** działającego przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
„Inne planety” redagują:
red. nacz.: Wojtek Szyda
red. d/s propagandy: Krzysztof Głuch
skład i wsparcie moralne: Piotr Derkacz
korekta i wsparcie estetyczne: Monika Szulc
Nakład: 300 egzemplarzy, oddano do druku w lutym 1999
Wydrukowano dzięki uprzejmości Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Numer dedykowany planecie Pluton